ROK II. Nr. 21

7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



POWIETRZA I SŁOŃCA!..

fot. Paramount.



I znów o Ameryce... Oto refleksja, która niewątpliwie nasunie się niejednemu z Czytelników, gdy spojrzy na tytuł niniejszego artykułu, zapoczątkowującego studjum o Stanach Zjednoczonych — tym razem pod kątem widzenia gorączki złota, trawiącej cały niemal naród amerykański — a w każdym razie nie mniej osiemnastu miljonów ludzi obojga płci i wszelkich zawodów, — wprzągniętych do rydwanu szalonej spekulacji. Żywiołowa potęga dolara jest źródłem i celem gigantycznego wysiłku pracy yankesów ,a jednocześnie, jak to widzimy z satyryczno-psychologicznych feljetonów M. Dekobry, staje się przyczyną przedziwnych osobliwości, jakich nie posiada żadne społeczeństwo. Zanim przejdziemy do właściwego tematu, niechaj nam wolno będzie jeszcze zaznaczyć, iż na tle tej walki o posiadanie dolara wyrosły jednostki godne największego podziwu, postacie historyczne — począwszy od pionierów potęgi gospodarczej Stanów z Aleksandrem Hamiltonem na czele, a kończąc na współczesnych potentatach — Fordzie, Morganie i wielu innych.

Okres powstawania Stanów Zjednoczonych nastręcza pod względem sytuacji finansowej wiele analogji z temi doświadczeniami, które przeżywaliśmy w ostatnich latach. Potrzeby związane z kosztami prowadzenia walki orężnej, nie mogły znaleźć pokrycia drogą ściągania od ludności coraz większych podatków. Wykorzystano natomiast czynnik uczuciowy — nastroju mas i emitowania w miarę konieczności banknotów (ściślej mówiąc, gdyż Banku jeszcze nie było, papierowego pieniądza) oraz zaciągania przeróżnych pożyczek wewnętrznych. I zwykłą koleją rzeczy, jak to bywa w krajach, gdzie państwowość nie zdołała okrzepnąć — po zakończeniu okresu wojennego ludność znalazła się w posiadaniu olbrzymiej ilości walorów o wątpliwej wartości.

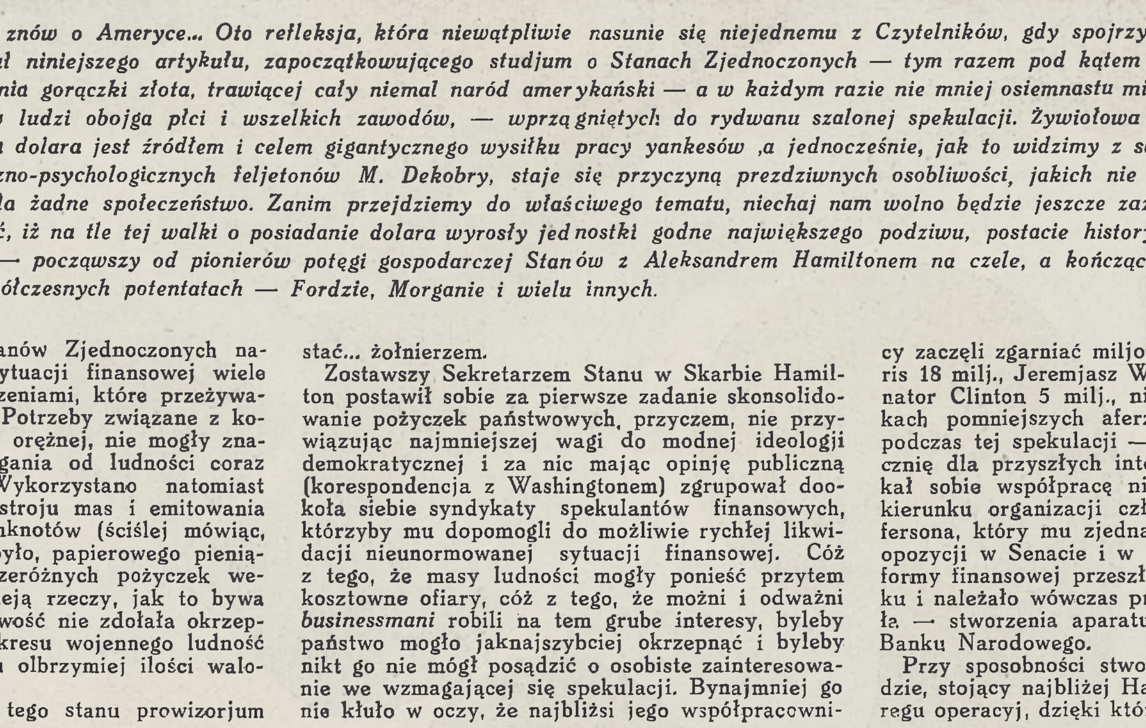
Zadanie zlikwidowania tego stanu prowizorjum finansowego i zastąpienia stałą organizacją przypadło w udziale genjalnemu wprost człowiekowi, Aleksandrowi Hamiltonowi. Hamilton był jedną z najbardziej oryginalnych postaci, jakie można sobie wyobrazić, obdarzony niezwykłemi i wszechstronnemi zdolnościami. Skromnego będąc pochodzenia (a nawet niewiadomego, co mu zyskało przezwisko *bastarda)*, musiał od najmłodszych lat poświęcić się pracy zarobkowej i rozpoczął karjerę życiową jako buchalter. Jednocześnie jednak pracował na polu publicystyki i studjował prawo, a wkrótce, zawdzięczając to krasomówczemu swemu talentowi, został jednym z głównych przewódców ruchu niepodległościowego. I, o dziwo, człowiek ten, któremu danem było stworzyć podstawy gospodarcze Stanów Zjednocz. mawiał o sobie, iż złą sobie obrał drogę, gdyż powinien był zostać... żołnierzem.

Zostawszy Sekretarzem Stanu w Skarbie Hamilton postawił sobie za pierwsze zadanie skonsolidowanie pożyczek państwowych, przyczem, nie przywiązując najmniejszej wagi do modnej ideologji demokratycznej i za nic mając opinję publiczną (korespondencja z Washingtonem) zgrupował dookoła siebie syndykaty spekulantów finansowych, którzyby mu dopomogli do możliwie rychłej likwidacji nieunormowanej sytuacji finansowej. Cóż z tego, że masy ludności mogły ponieść przytem kosztowne ofiary, cóż z tego, że możni i odważni *businessmani* robili na tem grube interesy, byleby państwo mogło jaknajszybciej okrzepnąć i byleby nikt go nie mógł posądzić o osobiste zainteresowanie we wzmagającej się spekulacji. Bynajmniej go nie kłuło w oczy, że najbliżsi jego współpracownicy zaczęli zgarniać miljony — a więc Robert Morris 18 milj., Jeremjasz Wadsworth 9 milj. i Gubernator Clinton 5 milj., nie mówiąc już o dziesiątkach pomniejszych aferzystów, którzy zbudowali podczas tej spekulacji — na nędzy mas — odskocznię dla przyszłych interesów. W r. 1790 pozyskał sobie współpracę niemniej utalentowanego w kierunku organizacji człowieka — Tomasza Jeffersona, który mu zjednał przedewszystkiem głosy opozycji w Senacie i w Izbie. Śmiałe projekty reformy finansowej przeszły wszystkie — bez wyjątku i należało wówczas przejść do następnego dzieła — stworzenia aparatu bankowego, a zwłaszcza Banku Narodowego.

Przy sposobności stworzenia tej organizacji ludzie, stojący najbliżej Hamiltona dopuścili się szeregu operacyj, dzięki którym akcje Banku przechodząc z rąk do rąk i umiejętnie śrubowane lub obniżane, spowodowały kilka krachów. Dość powiedzieć, że kursy w ciągu paru pierwszych lat wykazały wahania sięgające 150% w jedną i w drugą stronę, a straty za każdym razem ponosiła... naiwna publiczność, operująca na współrzędnie organizującej się giełdzie na Wall Street. Można powiedzieć, że pozyteczna inicjatywa Hamiltona w kierunku zbudowania podwalin dla młodej bankowości amerykańskiej — nauczyła wielu ludzi sztuki spekulowania.

Trzecim etapem działalności finansowej Hamiltona było zunifikowanie waluty, która zastąpiła przedziwnie chaotyczny obieg wszelakieg o rodzaju dublonów, gwinei, pistol i t. p.

Na podłożu pięknych wyników pracy Hamiltona poczęły się pojawiać instytucje o charakterze zdecydowanie spekulacyjnym. Należy zaznaczyć prze-



Czerni się od uzbrojonej policji. I nic dziwnego, boć chodzi o transport 700 milj. dolarów, na które wielu znajdzie się amatorów (p. ilustr. górna). Tytuł pod fotografją, przesłany nam z Ameryki brzmi: „Giełda dziecinna". Niema w tem przesady, albowiem wszyscy obywatele U. S., starsi i małcy interesują się spekulacją.

dewszystkiem, że trudno było w pierwszej chwili otrzymać nawet koncesję na otworzenie banku i że instytucje założone przez Hamiltona (poza Bankiem Narodowym, założył Bank of New York, a Robert Morris był twórcą pierwszego banku handlowego pod nazwą Bank of North America) korzystały z praw niemal monopolowych.

Groźnym konkurentem tych instytucyj okazał się niezwykle przebiegły Aron Burr, któremu udało się przezwyciężyć wszelkie trudności w otrzymaniu koncesji dzięki sprytnemu manewrowi. Oto bowiem wobec grasującej w New Yorku epidemji żółtej gorączki, stwierdzono konieczność zaopatrywania miasta w możliwie nieskażoną wodę. O koncesję w tym celu wystarał się Aron Burr i założył towarzystwo o kapitale 2 milj. dolarów*), przyczem do aktu dodane było zezwolenie nabywania i operowania wszelkiemi walorami — a to ze względu na to, iż całość kapitału mogła na razie nie być potrzebna dla właściwych celów towarzystwa. I oto jakim sposobem powstała w ukrytej formie, pod nazwą T-wa Manhattan Company, placówka, mająca w następstwie konkurować na rynku z oficjalnie uznanym bankiem „of New York". Precedens ten otworzył ludziom oczy na korzyści lokowania kapitałów w organizacji banków, których otworzono w krótkim czasie — bo niespełna w przeciągu 3 lat — 40.



Kolosalny ruch uliczny w New Yorku jest również wynikiem rospasanie w kierunku „business'u".

*

W kilka lat po zbudowaniu przez Hamiltona finansowych podwalin dla orgaznizacji życia gospodarczego zanotować należy niezwykle doniosły przewrót w komunikacji rzecznej, dzięki wynalazkowi parowca Fultona i założenie pierwszej linji żeglugi na Missisipi. W r. 1825 dokonano otwarcia kanału Eric, dzięki któremu znaczenie New Yorku przerosło wszystkie miasta amerykańskie. Najbardziej ucierpiało kwitnące do tego czasu miasto Baltimore i, pragnąc odzyskać swoje stanowisko, postanowiło wybudować pierwszą amerykańską linję kolejową — Baltimore and Ohio Railroad Company z kapitałem wysokości 5 milj. dolarów.

Rozbudowa sieci dróg komunikacyjnych, oparta na kapitałach prywatnych dała pole do niezwykle ożywionej spekulacji giełdowej. Na tem tle wyrasta wiele ciekawych postaci, przodujących w świecie finansjery amerykańskiej.

Jednym z pierwszych w tej dziedzinie był makler giełdowy, nazwiskiem Jakób Little. Zaznaczyć należy w tem miejscu, iż data pojawienia się sprytnego giełdziarza na rynku finansowym, zbiega się z oryginalnym rekordem — minimum operacyj dokonanych na Wall Street, kiedy to w pamiętnym dniu 16 marca 1830 zanotowano zaledwie 31 tranzakcyj (26 akcyj „United State Bank" i 5 Morris Canal and Company")*). Jakób Little, nie zważa-

*) Kapitał zakładowy Bank of North America wynosił 400.000 $, zaś kapitał Bank of New York— 500.000 $.

*) W niespełna 100 lat później, podczas zeszłorocznej paniki osiągnięto w dniu 28 litopada rekordową cyfrę 16.410.030 akcyj na Stock Exchange, 7.096.300 na Curb Exchange.

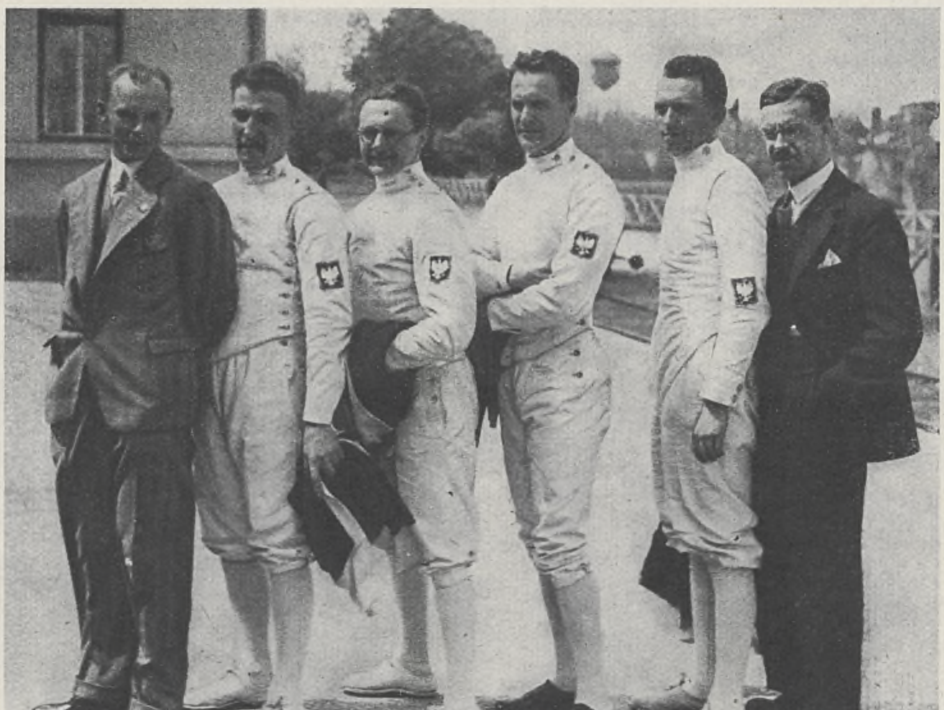
(Dalszy ciąg na str. 17-ej).

Zwycięstwo polskich szermierzy

Niemal jednocześnie na dwu frontach sportowych walczyliśmy zwycięsko z naszymi rumuńskimi aljantami. W Warszawie tennisiści nasi po raz pierwszy w dziejach polskiego tennisu przeszli przez pierwszą eliminację w walce o Davis Cup, w Bukareszcie zaś szermierze znowu odnieśli świetne zwycięstwo w meczu drużynowym z Rumunją.

Walki odbyły się w dwu broniach: szabli i szpadzie. Krótki rzut oka na dotychczasowe wyniki najlepiej oświetli nasz sukces. W szabli należy nam się trzecie miejsce, w szermierce światowej — wywalczyliśmy je w ciężkich walkach na Olimpjadzie w Amsterdamie, bijąc Anglję, Amerykę, Belgję, Holandję i Niemcy. To też, choć jeszcze w r. 1927 we Lwowie szabla rumuńska była nam równą, obecnie uległa bezapelacyjnie w stosunku 11:5.

W szpadzie natomiast do Olimpjady nie odgrywaliśmy w świecie szermierczym żadnej roli. W roku ubiegłym po raz pierwszy startujemy drużynowo w Budapeszcie na wojskowych mistrzostwach Europy, wchodząc odrazu przekonywującemi zwycięstwami do finału, zdobywając ogólne uznanie dla sposobu naszej pracy i bojowego zapału w walce. Mija rok i przed paru tygodniami bijemy w Warszawie Czechosłowację 10:6, pomimo, że w roku zeszłym ulegliśmy w Pradze 12:4. Skok jest naprawdę imponujący.



Polska ekipa szermiercza, która pokonała w Bukareszcie Rumunów.

Pełni zapału w pracy i ufając w swe siły, gotujemy się stanąć na obcym gruncie do walki rewanżowej ze znaną i zaprawioną w międzynarodowych spotkaniach drużyną rumuńską. Kto zna nieskazitelną technikę szpadową rumunów, ich opanowanie i spokój w walce, rutynę zdobytą dziesiątkami lat pracy umiłowaną bronią, ten dopiero zrozumie sukces wyniku remisowgo, który osiągnęli nasi młodzi szpadziści. Wynik ten potwierdza talent drużyny, pracującej bez trenera szpadzisty, właściwy kierunek pracy i podnosząc wiarę w swe siły otwiera drużynie szpadowej drogę do nowych tryumfów.

Ze świetnych szpadzistów rumuńskich najlepiej walczyli: Cesianu, który odniósł trzy zwycięstwa na cztery stoczone walki i mistrz Rumunji Caramfil (2 zw. i 1 remis). Z Polaków Laskowski 3 zwycięstwa i Szempliński 2 zw.

W szabli z rumunów jedynie Raiciu, nadzwyczaj ambitny leworęki zawodnik, odnosił zasłużone zwycięstwa, pomimo, że i on ze swą jednostronnością w pracy, jest szermierzem niższej klasy od naszych. Z Polaków Papee, Laskowski i Nycz odnieśli po 3 zwycięstwa.

Pomijając wynik techniczny, mecz powyższy, rozegrany w atmosferze przyjaźni sportowej, zacieśnił jeszcze bardziej więzy, łączące szermierzy obu sprzymierzonych krajów. Nadzwyczaj serdeczne przyjęcie, troskliwa opieka nad zawodnikami, roztoczona przez gospodarzy, znalazły swój wyraz w serdecznych przemówieniach na bankiecie, wydanym przez „Jockey-Club", „Circul Militar" i na śniadaniu w Poselstwie Polskiem, wydanem przez ministra Szembeka.

Jak wysokim czynnikiem propagandy jest sport, wykazała najlepiej Akademja Szermiercza, połączona z balem, która się odbyła dla uczczenia drużyny polskiej, we wspaniałych salach „Circul Militar", gdzie ujrzeć można było elitę towarzystwa bukaresztenskiego wraz z przedstawicielami dyplomacji wszystkich krajów.

Kazimierz Laskowski.

Elektryczna śmierć

Kara śmierci, uważana nieomal przez całą kulturalną ludzkość, za plamę na cywilizacji, nie została jeszcze, prawie nigdzie, zniesiona. Prawo, kierujące się zasadą: „oko za oko", stosuje karę śmierci, jako odwet za popełnione zbrodnie. Wielcy humanitaryści starali się wynaleźć sposób tracenia, któryby pozwolił skazanemu jaknajmniej cierpieć. Wynalazki, poczynione w tym kierunku, miały na celu zredukowanie okresu umierania do minimum. Ostatnim też wyrazem techniki tracenia przestępców „bez bólu" ma być amerykańskie krzesło elektryczne. Przestępca, według teorji konstruktorów fotela śmierci, umiera z piorunującą szybkością, niezdoławszy nawet odczuć zadawanego mu bólu. Teorja ta była żywotną tak długo, jak długo ostatnie chwile skazańca nie mogły być poddane krytyce fizjologów i fizyków. W rezultacie okazało się, że śmierć zadawana przy pomocy prądu elektrycznego, jest bardziej okrutną i wyrafinowanie bolesną od sposobów używanych w innych krajach.

Ciekawe rewelacje na temat zgonów od uderzenia prądem elektrycznym ujawnia inżynier Karol Kurt Wolter, z instytutu medycyny eksperymentalnej, z Monachjum. Podajemy poniżej wyciąg z jego prac, dotyczących przebiegu procesu zamierania organizmu ludzkiego od prądu elektrycznego.

Według ostatnio sporządzonej statystyki wypadków śmierci, przeciętnie 400 ludzi rocznie umiera w Niemczech od porażenia elektrycznością. Nie wchodzą tutaj w rachubę wypadki uderzeń pioruna, które wahają się pomiędzy 1000 i 1200 w ciągu roku. Badania uczonych na temat elektrycznej śmierci, trwają od lat pięćdziesięciu i zostały uwieńczone sklasyfikowaniem typowych wypadków, oraz reakcji organizmu ludzkiego. Wszystkie starostwa współdziałają z pracą uczonych, notując każdy wypadek elektrycznej śmierci na specjalnych dwunastostronicowych formularzach, zapełnionych mnóstwem zapytań, często niemających nic wspólnego z elektrycznością.

Po żmudnych badaniach przyczyn śmierci, oraz reakcji organizmu człowieka na uderzenie prądem elektrycznym ustalono, że moment śmierci leży w ścisłej zależności od wartości fizjologicznych: cielesnego i duchowego przygotowania na udar elektryczny oraz konstytucji wewnętrznej organizmu. Jeżeli chodzi o mechanizm śmierci elektrycznej, to rozpatrują zasadnicze trzy typy: 1) zatrzymanie procesu oddychania (płuca nie są zdolne do pracy). Następuje wtedy wewnętrzne duszenie się, a co za tem idzie, długa walka ze śmiercią. 2) Serce przestaje pracować i wstrzymany jest obieg krwi. 3) Serce pracuje nadmiernie (gwałtowne bicie serca). W ostatnim wypadku przedsionki serca pracują 300 razy na minutę, a komora sercowa do 800 razy, to znaczy 10 razy szybciej jak normalnie. Najnowsze badania wykazały, że szybkość bicia serca jest w stosunku wprost proporcjonalnym do siły prądu, a wytrzymałość serca leży w granicach 1,2 ampera i 1000 wolt.

Studja nad okresem zamierania organizmu wykazały cały szereg różnic. Śmierć piorunująca, śmierć przedłużona, trwająca do 1 minuty włącznie. Fonetyczną cechą tej śmierci jest krzyk, wydany przez ofiarę. Rzadszym wypadkiem śmierci jest t. zw. „śmierć ułomna". Ilustruje ją następujący przykład: w Szwajcarji zdarzył się wypadek, że 10-letni chłopiec dotknął się przewodnika o wysokiem napięciu. Porażony prądem, pobiegł do domu, zaczął krzyczeć do matki, że umiera, poczem, faktycznie, padł trupem.

Stan zdrowotny organizmu ludzkiego, ma również ogromny wpływ na proces umierania. Ludzie nerwowi, gruźlicy, alkoholicy oraz melancholicy łatwiej się poddają śmierci, jak zdrowi.

Ciekawą jednak i pełną narazie tajemnic dla badaczy jest odporność organizmu ludzkiego pod wpływem silnej walki i t. zw. „duchowego przygotowania". Jeden z najpoważniejszych uczonych w tej dziedzinie, dr. Jellinek przytacza fakt autentyczny, w którym porażony prądem wyszedł cało z opresji. Mianowicie, pewien lekarz jechał do chorego, przyczem, gdy znalazł się na wysokiej górze, wybuchła silna burza z piorunami. Lekarz zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie był narażony i wyczekiwał, kiedy w niego uderzy piorun. Czekał niedługo, gdyż uderzyły go w plecy aż cztery pioruny, które, porwawszy na nim ubranie, spłynęły do ziemi, nie wyrządziwszy mu żadnej szkody. Wypadki te, notowane dość rzadko w życiu, powtarzają się jednak zawsze przy traceniu na krześle elektrycznem. Skazaniec, przygotowany zgóry na uderzenie prądem, pasuje się całą siłą woli z nieuniknioną śmiercią. Śmiertelne te zapasy trwają tak długo, aż wola zostaje złamana przez silne natężenie prądu. Bóle, jakich w tej walce doznaje skazaniec, są wprost potworne i dlatego ten najhumanitarniejszy sposób tracenia okazał się najbardziej okrutnym.

(g)

Kongres eucharystyczny w Kartaginie

„Przeżywamy niezwykłe momenty, my, mała gromadka polska pod słońcem i cudnym lazurem nieba afrykańskiego. Czujemy się jak w raju, tem rozkoszniejszym, że pełnym owoców łaski Bożej, obficie spływającej z obchodów i uroczystości ku czci Eucharystycznego Boga".

Oto wrażenia, któremi dzieli się z rodakami uczestnik pielgrzymki polskiej na kongres eucharystyczny w Kartaginie, ks. Kneblewski. Tegoroczny kongres odbył się z niezwykłą, jak dotychczas, uroczystością, a nastrój podniosły kongresu był pomnożony w swej sile miejscem oraz czasem, w którym się odbywał. Papież Pius XI wybrał Kartaginę dla powodów historycznych. Jako miasto, będące jedną z pierwszych kolebek chrześcijaństwa, widziało życie wielkiego biskupa Hippony, św. Augustyna, waleczne czyny św. Ludwika, króla Francji, który podczas III-ej wyprawy krzyżowej poległ pod murami Kartaginy, kardynała Lavigerie, wielkiego apostoła wyzwolenia czarnych ludów. Wielka arena dawnego cyrku rzymskiego, deptana stopami męczenników chrześcijaństwa, oraz jednego z największych Apostołów, św. Pawła, doczekała się widoku tysięcy dzieci, ubranych w białe



Legat papieski, kardynał Lépicier, otwiera kongres, przemawiając do tłumu 50.000 wiernych.



Ogólny widok procesji. Po środku kardynał Lépicier odprawia mszę.

szaty z czerwonemi krzyżami na piersiach, które przystąpiły do Stołu Pańskiego, by potem z gałęziami palmowemi w rękach śpiewać radosne „Hosanna". Jeśli chodzi o czas odbycia się kongresu, to przypadł on na moment ostatecznego uznania suwerenności Ojca Świętego nad Państwem Kościelnem, a co zatem, kompletnego uniezależnienia się przy spełnianiu swego posłannictwa, jako namiestnika Bożego na ziemi.

Kongres, trwający dwa dni, poruszył serca nietylko jego uczestników - chrześcijan, ale również i miejscowych mahometan i żydów. Miasto udekorowane i iluminowane, szczerość i usłużność mieszkańców, dawały przybyłym pielgrzymom rękojmię przeżycia tych podniosłych chwil w atmosferze braterstwa, spokoju i modlitwy. Odczytaniem bulli papieskiej, przez legata Watykanu, kardynała francuskiego Lepicier, otwarto kongres, poczem monsignor Heylene, prezes międzynarodowego Komitetu Eucharystycznego wygłosił entuzjastyczne przemówienie powitalne do 50-tysięcznego tłumu, zalegającego plac *de la Residence,* przed drzwiami bazyliki tuniskiej. Pierwszy dzień kongresu rozpoczęło nabożeństwo, odprawione przez prymasa ks. kardynała dr. Hlonda, w Belvederze, a następnie komunja dzieci. Tegoż wieczoru w bazylice tunetańskiej odbyła się adoracja N. Sakramentu, oraz msza święta, odprawiona o północy.



Przybycie kardynała Verdier, arcybiskupa Paryża.

Podczas drugiego dnia obradowały sekcje narodowościowe, oraz sekcja orjentalna w której brali również udział przedstawiciele polscy w osobach ks. kardynała Hlonda i ks. biskupów Przeździeckiego i Łukomskiego. Podczas obradowania sekcji polskiej wypowiedział między innymi piękne przemówienie p. min. Pułaski o czci eucharystycznej na wychodźtwie.

Polska pod względem kultu eucharystji nie stoi w tyle za innymi narodami, czego wydatnym dowodem było kilka kongresów dzielnicowych, z częstochowskim na czele. Zaś egzaminem sprawności będzie projektowany obecnie ogólnokrajowy zjazd w Poznaniu.

WIKTOR PRZECŁAWSKI.



VII.

Cesarz Mikołaj opuszczał Warszawę zadowolony. Zdawało mu się, że jest rzeczywiście królem Polski i że zdoła postępowaniem swojem wzbudzić zaufanie kraju. Trudno dziś, oczywiście, sądzić, wiele było szczerości w ówczesnych jego oświadczeniach, wszystko jednak zdaje się przemawiać za tem, że zaślepiony satrapa mówił szczerze: „Czuję teraz, — mówił do w. ks. Konstantego — że jestem władcą Polski, i sądzę, że wcześniej czy później potrafię zyskać sobie serce narodu, obsypując go dobrodziejstwami". W. ks. nic na to nie odpowiedział. Był niezadowolony. Zdawało mu się także, że Polacy chętnem okiem patrzą na nowego króla, i że jego znaczenie w kraju zmalało. Jakże mylili się obaj! W kilka miesięcy później, dnia 28 listopada st. st. 1830 roku, wpadł do gmachu pruskiego poselstwa w Petersburgu przemęczony kurjer, który nie przywiózł żadnej paczki depesz i papierów urzędowych, lecz jedynie mały kawałek papieru, złożony we dwoje, i w pośpiechu zaledwie muśnięty woskiem. Tak dostarczona wiadomość brzmiała dosłownie: „Warszawa, 30 listopada, now. stylu (18 listopada st. st.). 2 godzina nad ranem. Ogólne powstanie: spiskowcy owładnęli miastem. Jego C. W. Cesarzewicz żywy i zdrów; jest już poza niebezpieczeństwem pomiędzy wojskami rosyjskiemi. Szmidt, konsul rosyjski".

Tragedja dziejowa się zaczęła.

Od tego dnia losy w. ks. Konstanego łączą się ściśle z dziejami powstania. Następne tedy rozdziały poświęcimy opisowi życia kraju, powodom powstania oraz ludziom, którzy główną odegrali w niem rolę. Później — już wyłącznie — zajmiemy się historją wojny.

12.

Przyczyny, które spowodowały wybuch powstania listopadowego, są różne i liczne. Współżycie Rosji absolutnej z Polską konstytucyjną nie mogło stworzyć trwałego przymierza, a systematyczne naruszanie i ograniczanie praw, które sama przecież Rosja w . 1815 zagwarantowała, rozdrażniło większość narodu i pchnęło kraj pod sztandar walki, wzniesiony butnie przez garść młodzieży. Wszystkie jednak antikonstytucyjne działania rządu przyspieszyły tylko wybuch, który był nieunikniony, i krwawe rozstrzygnięcie, które było dziejową koniecznością. Słusznie bowiem powiedział M. Mochnacki, że stokroć gorszy rząd mógłby w Polsce istnieć, o ileby Polska miała zupełną niezależność. Powstanie 1830 r. było tylko fragmentem długiej walki o wolność. Rozpoczęta w r. 1794 przez Tadeusza Kościuszkę, będąca istotną treścią legjonowego trudu za czasów Napoleona — walka ta w istocie nigdy nie gasła. Stłumiona w potokach krwi dumna żądza wolności, wstanie znowu w r. 1863, i krwawą nicią żyć będzie aż po pamiętny rok 1914.

Królestwo Kongresowe rozdrażniło Rosję, a nie zadawalniało Polski. Mochnacki nazwał je polityczną żmiją, kąsającą absolutną Rosję, i to twarde określenie zawiera całą prawdę. Olbrzymia większość rosyjskiej arystokracji i inteligencji konstytucję polską uważała za kamień obrazy i obelgi, Polacy zaś, którzy w epoce Napoleona wierzyli w pełne urzeczywistnienie swych marzeń i nadziei, z niedowierzaniem i nieufnością odnosili się do wszystkich poczynań i aktów Aleksandra I. Znamiennym jest przecież stosunek Kościuszki do Królestwa Kongresowego. Nietylko nie zgodził się powrócić i służyć krajowi, lecz wyraźnie napisał do ks. A. Czartoryskiego: „Możemy być wdzięczni cesarzowi za wskrzeszenie już pogrzebanego imienia polskiego, lecz samo imię nie tworzy narodu". Tylko bowiem zwrócenie Polsce ziem po Dniepr i Dźwinę mogłoby stworzyć „równowagę i trwałe przymierze z Moskwą", słabe zaś Królestwo Kongresowe „nigdy nie będzie w stanie walczyć zwycięsko z intrygą, przewagą i przemocą Rosji". „Czyż — pisze dalej Kościuszko — jesteśmy obowiązani milczeć o naszych braciach litwinach, poddanych władzy Rosji? Serce nasze kurczy się i boli, ponieważ nas rozłączono". Kościuszko wyrażał wtedy opinję i trwogę całej Polski. Ta opinja i ta trwoga musiały rozporządzać niezwykłą siłą, skoro liczył się z nią Aleksander I i uspokajał wyraźnemi obietnicami gorących patrjotów. W rozmowie z ks. Ogińskim, członkiem litewskiej deputacj, która w r. 1815 przybyła do Warszawy, car powiedział: „Wiem, że położenie wasze jest nieznośne; wiem, że nie możecie być zadowoleni, póki nie połączycie się z braćmi. Lecz bądźcie spokojni. Trochę cierpliwości! I ufności". Tak mówił car i król, tedy nadzieje rosły. Działania rządu nadziei tych nie obalały, przeciwnie, dawały nawet do zrozumienia, że część ziem zabranych zostanie Polsce zwrócona i to bardzo rychło. Podkreślić także należy, że w zarządzie ziem wileńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, wołyńskiej i białostockiej przeważał żywioł polski, i że aż do r. 1825 gubernatorami nawet byli przeważnie Polacy. Nie koniec na tem. Utworzenie w r. 1817 specjalnego korpusu litewskiego, z mieszkańców ziem litewskich i mianowanie jego wodzem w. ks. Konstantego, dalej, mianowanie w. ks. dowódcą wszystkich sił zbrojnych ziem wyżej wymienionych, stworzyło jedność wojskową polsko-litewską i otwierało łatwą już drogę także do zupełnej jedności administracyjnej.

Lecz to wszystko były tylko pozory. Reakcja brała górę i w rzeczywistości mowy być nie mogło o „wyrównaniu historycznej niesprawiedliwości" i o szczerych chęciach cara i jego rządu. Mikołaj I zerwał przynajmniej z nieszczerością Aleksandra. Postawił sprawę jasno. „Przestałbym być Rosjaninem w swoich własnych oczach" — napisał do w. ks. Konstantego — „jeślibym wierzył w możliwość oddzielenia Litwy od Rosji". Po słowach tych nastąpiły czyny. Korpus litewski pozbawiony został odznak polskich, skład jego starano się uzupełnić teraz żywiołem rosyjskim, usuwano Polaków z kierowniczych stanowisk, a słynny metropolita, Józef Siemaszko, rozpoczął pracę, zmierzającą do „połączenia unitów z prawosławiem".

„Car Aleksander" — pisze rosyjski historyk Szilder — „w porywie szlachetnego łudzenia się posiał wiatry; rozdając szczodrą ręką obietnice, które nigdy nie stały się rzeczywistością, przekazał mimowoli swemu następcy konieczność zbierania burzy".

Całe zresztą życie Królestwa Kongresowego przemijało pod znakiem nieszczerości, a stosunek Aleksandra do Polski był niemal bez przerwy sianiem wiatru. Rosyjscy historycy twierdzą, że „Królestwo Polskie oddane zostało Rosji bez żadnych warunków", na łaskę i niełaskę, i że car dał Polsce więcej, niż powinien był — historycy zaś nasi uważają, że Aleksander, dając Polsce konstytucję, wypełniał tylko przyjęte na siebie zobowiązania, które były nietylko uroczyste, ale i wiążące. Sprzeczność tych twierdzeń znajduje wytłomaczenie w niejasności odnośnych artykułów aktu kongresu wiedeńskiego, wystarczy przeto podkreślić tylko, że konstytucja Kongresówki była lepszą, szerszą i liberalniejszą od napoleońskiej konstytucji Księstwa Warszawskiego, i że mogła stworzyć warunki, sprzyjające życiu młodego państwa, o ileby rzeczywistość była wypełniana.

W swej niezwykłej mowie (która ma wszelkie cechy szczerości i szlachetności), wygłoszonej w marcu 1818 r. na uroczystości otwarcia pierwszego sejmu Królestwa Polskiego, car Aleksander powiedział, że Konstytucją Królestwa objąć chce kolejno „wszystkie kraje", któremi włada, i że wobec tego wzywa Polaków, aby udowodnili swoim współczesnym możliwość istnienia form rządów konstytucyjnych, które nie powinny być „żadnem „niebezpiecznem marzeniem", a mogą zawsze „być w zgodzie z porządkiem" i powinny „utwierdzać prawdziwą pomyślność narodów". Co to znaczy? Znaczy, że „swoboda polska" powinna była objąć także Rosję, ale tej swobody w Polsce nie było. „Absolutny monarcha" — pisał ks. P. A. Wiaziemskij do M. Orłowa — „zadusił konstytucyjnego króla". Dlaczego? Poprostu dlatego, że w oczach Aleksandra konstytucja polska była tylko dziełem i objawem jego własnej osobistej szlachetności, darem dobrowolnym i takim, którego znaczenie nietylko zawsze ograniczać można, ale nawet zupełnie je przekreślić. Car poprostu uważał, że przepisy konstytucyjne obowiązują wszystkich, lecz nie mogą obowiązywać jego, jako cara i króla.

(D. c. n.)



Lucien Simon. — „Pax in virtute tua" (freska).

JEAN MARTET.

Clemenceau — Foch...*)

Jak Clemenceau przystąpił do napisania „Blasków i Nędzy Zwycięstwa"

WSPOMNIENIA FOCHA.
„ODPOWIEM!"

17 kwietnia 1929 r.

Zostałem znów zawezwany przez p. Clemenceau.

CLEMENCEAU. — Wezwałem pana w następującej sprawie. Oto książka Recouly... „Wspomnienia Focha" ukażą się jutro. Niech pan ją przestudjuje i proszę mi zrobić szczegółowe notatki. Potem, kiedy to od pana dostanę — odpowiem...

J. MARTET. — Odpowie pan?

CLEMENCEAU. — Tak jest.

J. MARTET. — Komu? Recouly?...

CLEMENCEAU. — No, pewnie, że jemu, a nie szachowi perskiemu. Chcę napisać książkę o Fochu, pokazać, kim on był, co czuł, co myślał... Sięgnę aż do samej głębi tematu. Bo już mam tego dosyć. Rozumie pan? Dosyć!... Opowiem, na ile też Foch był odpowiedzialny za sprawę Chemin des Dames.

J. MARTET. — Co też pan mówi? pan to uczuni?

CLEMENCEEAU. — Tak jest. I to nieodwołalnie. Leżałem już w grobie. Wskrzesili mnie. Tem gorzej dla nich. Rozmawiałem dziś o tej sprawie z Mordacqui'em. Mówił mi, że generał Duchesne był pozostawiony własnej doli, że nikt się nawet nie zapytał, czy nie potrzebuje pomocy, tak jakby to nie było ich psim obowiązkiem! Powiem o wszystkiem. Czy ma pan dokładne dane o tem, jakieśkolwiek notatki?

J. MARTET. — Muszę gdzieś je mieć — poszukam.

CLEMENCEAU. — Mówił mi ktoś, że tego samego dnia, kiedy złożyłem władzę, ukazał się artykuł, czy też wywiad Focha. Napadał na mnie. Trzeba to odnaleźć. Trzeba też odnaleźć tekst przemówienia tego typa z depart. Meurthe et Moselle — jak go tam, do djabła?... A — Louis Marin! Tego z pewnością również napompował Foch... Czytał pan przebieg dyskusji w sprawie Chemin des Dames?

J. MARTET. — Znam to. To dyskusja z dn. 4 czerwca 18-go roku. To wówczas właśnie oświadczył pan w Izbie: „— Chcecie, abym wysadził Focha? Nie zrobię podobnej rzeczy. Wolę raczej, ażebyście mnie pozbawili władzy — jeśli tylko o to chodzi". A cztery miesiące później Foch przesłał na ręce Lloyd George'a ów sławetny list...

CLEMENCEAU. — Co za list?

J. MARTET. — List, w którym pisał, że jemu zawdzięcza, iż pozostawiono go na stanowisku.

CLEMENCEAU. — Tak jest. Powiedział to. Biedny Foch... Nie zataję, że były momenty, kiedy okazał się wielkim wodzem... tego zaprzeczyć nie można... lecz jednocześnie był małym sobie człowieczkiem, ograniczonym, miernym...

*) pocz. patrz: Nr. 20.

J. MARTET. — Czytałem przed paroma dniami artykuł Le Goffic'a, w którym była mowa o panu i o Fochu...

CLEMENCEAU. — No i co? Zmieszał mnie pewnie z błotem?

J. MARTET. — Nie. Opowiedział poprostu o tem, jakie przyczyny skłoniły pana do zadecydowania o stanowisku Focha, w Szkole Sztabu Generalnego. Czytał pan jego prace...

CLEMENCEAU. — Co? Książki Focha? Ja? Czy pan sobie ze mnie kpi? Nie czytałem ani jednego wiersza z pod pióra Focha. Nie za to mianują żołnierza na stanowisko, że napisał książkę. Co znaczą książki? Ja też opowiem, jak to się stało. Dlaczego tak się stało — dziwny zbieg okoliczności — dlatego, że zawsze na mnie wypadała rola mianowania go na jakieś stanowisko, albo zatwierdzania go tam, gdzie mógł się okazać właściwym człowiekiem. Mianowałem go dyrektorem Szkoły Sztabu Generalnego, powierzyłem mu również naczelne dowództwo...

J. MARTET. — To prawda. Choć są i tacy, co nie wierzą w to. Znam pewnego pułkownika *), który niedawno oświadczył w Szkole Sztabu, podczas wykładu, iż zawsze przeciwstawiał się pan sprawie unifikacji naczelnego dowództwa.

CLEMENCEAU. — No tak. Żołnierze nie poznali się na tem. Cała gra z mojej strony polegała, żeby Anglicy sami doszli do tego wniosku... Żołnierzom musiałbym był powiedzieć: „Oto tak .Zrobimy to... zrobimy tamto... Niema co się wahać. Broń na ramię — i marsz!" Powracając do Focha — muszę powiedzieć, że ocaliłem go przed atakami ze strony parlamentu; że obroniłem go przed aljantami, którzy mówili mi: „Jakże pan może znieść podobnego człowieka? Nie chcemy go... Rzuca się, ciska, gada, denerwuje — toż to nudne jest, nakoniec!" Po dziesięć razy ściskałem się z nim. Do ręki mu oddałem buławę marszałkowską. A rezultat? Oto drobne ploteczki jego z Recouly. Opowiem o tem. Opowiem bez przyjemności. Ale mówić będę. Nie czuję satysfakcji w zemście. Ale za wiele doprawdy popełnia się błędów... Bo Francuz, widzi pan, to człowiek, co stracił zmysł prawdy. A może go nigdy nie posiadał? Opowiem stanowczo o tem co jest, i o tem co było. A teraz — do widzenia...

*) Pułkownik Larpent.

*

Czytam na łamach prasy notatkę:

Sprowokowany oświadczeniami marszałka Focha, p. Georges Clemenceau podał do wiadomości, co następuje:

— Stwierdzam z przykrością, że zmuszają mnie do wszczęcia dyskusji w obliczu nieboszczyka, lecz uważam, że milczenie z mojej strony mogłoby być poczytywane za przyznanie mu racji. I dlatego właśnie zabiorę głos.

„TRZEBA IŚĆ ZA POPĘDEM SWEGD CHARAKTERU"

CLEMENCEAU. — Muszę panu coś oświadczyć, Martet.

J. MARTET. — Czy to, że zaniechał pan wydania swojej książki?

CLEMENCEAU. — Nic podobnego. Przeciwnie. Chciałem przedewszystkiem odpowiedzieć Fochowi. Odpowiem im wszystkim. Briandowi, Malvy'emu, Caillaux, Poincare'mu, Renaudel'owi... *(Patrząc na mnie).* Zdaje mi się, że to pana...

J. MARTET. — Istotnie — jestem trochę... zaskoczony... A więc — walka?

CLEMENCEAU. — Niech to pan nazywa, jak się panu podoba... Proszę mi teraz odpowiedzieć, co pan znalazł. Lecz przedewszystkiem powiem i ja, że posiadam już wywiad z Fochem i mowę Louis Martin'a. Może pan tego nie szukać.

J. MARTET. — Oto garść dokumentów, które mogą się panu przydać...

CLEMENCEAU. — Co mianowicie?

J. MARTET. — A więc przedewszystkiem notatka, którą mi pan oddał jakiś czas temu i w której mowa jest o Foch'u i o Weygandzie.

CLEMENCEAU. — Ach, tak? Dziękuję. Przyda mi się. Ale nie wspomnę o Weygandzie. Chcę zostawić go w spokoju*).

J. MARTET. — A tu moja notatka osobista, dotycząca sprawy Chemin des Dames: przebieg posiedzenia Izby z dn. 4 czerwca 1918 r. oraz telegram Focha do Lloyd George'a, w którym pisze, że to jemu zawdzięcza...

CLEMENCEAU. — Doskonale. Mam materjału poddostatkiem.

J. MARTET. — Widzi pan, że zrobiłem to, o co mnie pan prosił i że zabrałem się do roboty...

CLEMENCEAU. — Rzeczywiście. No, a co stąd wynika?

*) *W notatce tej Clemenceau wyrażał następującą opinję o Weygandzie: „Nic nie mając wspólnego z klasyczną akademją grecką, generał Weygand posiada bardzo żywy umysł, poparty darem operowania bogatemi środkami rozumowania... Jest w stanie realizowania do końca swojego postanowienia i jeśli chce, aby Foch coś postanowił, to Foch musi się z nim ostatecznie zgodzić.*

Nie mówiłbym tyle o nim, gdyby nie to, że conajmniej do połowy dopełnia zasób inteligencji gen. Focha i t. d.

J. MARTET. — Uprzejmie proszę o pozwolenie wstawienia jednego słóweczka. Powiedział mi pan mianowicie, że zamierza pan odpowiedzieć Fochowi — ale nie zapytał pan, jak też ja się na to zapatruję...

CLEMENCEAU.— Jeszcze raz przyznaję panu rację. Ale czekam, żeby się pan wypowiedział. Więc?...

J. MARTET. — A więc — namyśliłem się nad tem, co ma pan powziąć. Usiłowałem dokonać tego z największą rozwagą i przypuszczam...

CLEMENCEAU. — Co też mi pan opowie?!

J. MARTET. — Nie zabierał pan głosu w ciągu 9-ciu lat. Ludzie — a mówię o tych, co mają za dwa grosze rozsądku—uznali stanowisko to za odpowiadające pańskiej godności. No, a teraz zamierza pan odezwać się?...

CLEMENCEAU. — Tak jest. Odpowiadam, gdyż zaatakowano mnie.

J. MARTET. — Czyż doprawdy aż do tej pory czekano cierpliwie? Wszak w roku 1920 już pana atakowano, operując temi samemi zarzutami, które są zawarte we wspomnieniach Focha i za to, że nie położył pan ręki na Renanji i t. p...

CLEMENCEAU. — Zacisnąłem zęby. Czekałem cierpliwie. Ale dziś miarka się przebrała. Czyż można wszak żądać od człowieka, by pogrzebał się za życia? Toć przecież straszne!...

J. MARTET. — Najgorszem jest to, że zwlekał pan z odpowiedzią, dopóki Foch nie umrze...

CLEMENCEAU. — Mogę to sobie również powiedzieć i o Fochu, że zwlekał do chwili, kiedy go pochowają, aby dopiero wówczas dać upust wszystkiemu. Tak się nie robi. Nauczę ja tego nieboszczyka!

J. MARTET. — Nieraz mi pan mówił, że wówczas tylko stanowisko człowieka jest logiczne, kiedy utrzymuje się pewną linję. Powtarzam panu, że milczenie w ciągu 9-ciu lat...

CLEMENCEAU. — To bardzo piękna zasada, Martet. Ale nie mniej godnie odpowiem panu na to, że nigdy nie należy postępować wbrew wskazaniom własnego rozsądku. Usposobienie moje pomogło mi wytrwać w ciągu dziewięciu lat. Dziś jest inaczej — zmusza mnie ono do zabrania głosu. Czyż byś chciał mojej śmierci, Martet?

J. MARTET. — Ale skądże...

CLEMENCEAU. — Otóż widzi pan — milczeć i nie odparować złośliwego ataku tego człowieka, pozostawać biernym, ze skrępowanemi rękami... Nie przeżyłbym tego. Chciałem przecież nie jednego dokonać? Kochałem przecież ten kraj. Wszak przyczyniłem się do jego ocalenia. Rzuciłem się przecież w odmęt tego wszystkiego w wieku siedmdziesięciu pięciu lat i to w stanie, w jakim się znajdowałem. Pamięta pan? I oto... oto jaką monetą odpłacają mi ci ludzie. Nie myśl pan o mnie. Pomyśl pan tylko o sprawiedliwości i o prawdzie. Rozważ to sobie dobrze. Nie mam prawa trwać nadal w milczeniu.

J. MARTET. — Zgoda. Przesadzili. Lecz pozwoli pan, jeśli powiem, iż w kontraktau pańskim wiele zawartych jest takich spraw, których należałoby gwoli dobra kraju nie poruszać.

CLEMENCEAU. — No, co takiego?

J. MARET. — Sądzę, że nie powinien pan atakować samej osoby Focha. Powinien pan zapomnieć o tych wszystkich jego usterkach. Bo cóż to, w samej rzeczy? Wolałbym raczej, aby pan podjął krytykę samej ideologji Focha.

CLEMENCEAU. — Co też pan przez to rozumie, mówiąc o ideologji Focha?!

J. MARTET. — Sprawę Renanji, rozbioru Niemiec...

CLEMENCEAU. — Ależ to nie wszystko, mój drogi... Chodzi mi o niesubordynację okazaną przez Focha. A przyzna pan, że żołnierz, który staje się krnąbrnym... Gdyby prosty szeregowiec postąpił w stosunku do swego kaprala, jak Foch względem mnie — zamkniętoby go do paki. Odpowie mi pan na to, że nie byłem kapralem Focha? — Nie. Lecz większym byłem od niego, bo to ja właśnie odpowiadałem przed całym krajem za Focha.

J. MARTET. — Niechże pan nie redukuje jego sławy militarnej. Utrzymują powszechnie, że był genjuszem — niechże go pan pozostawi w spokoju.

CLEMENCEAU. — Genjusz... Foch genjuszem... Niejeden powie panu, że Napoleon był genjalnym. A jeśli zapytamy — jakże to? dowody? Wysuną panu bazgroły jakichś szkiców, z którychby wynikało, że Napoleon prezdsiębrał chwilami decyzje, jakie tylko można przypisać genjalnej intuicji. Jeśli zaś mowa o sztuce wojennej — to przyznam, że nie wierzę w nią. Foch natomiast ma to do siebie, że jeśli uważają go za genjusza, to twierdzenia tego nie popierają żadnym szkicem. Kruszący manewr Focha — czekałem nań i długo jeszcze mogę czekać. Był zdumiewającym nad Yzerą; potykał się tam z niczem... Pod Doullens — okazał się nadzwyczajnym — dał dowody wielkiego tupetu i rozmachu, przed któremi zawsze uchylę czoła. Co się tyczy jednak tego skrawka papieru ze szkicem — proszę mi go pokazać. A reszta pozatem jest literaturą...

(Dalszy ciąg na str. 17-ej).

MAURYCY DEKOBRA.

„Suche" Stany Zjednoczone

GENTLEMAN NIE BIJE SWEJ ŻONY.

Głos pani X... żałośnie zabrzmiał przez telefon.

— Co pani jest — zapytałem troskliwie. — Czyżby pani była chora?

— Istotnie. Nie wychodzę z domu. Czuję się fatalnie. Niech pan sobie wyobrazi, że mąż pobił mnie wczoraj wieczorem — i odwieziono go do lecznicy. Proszę mnie odwiedzić. Opowiem, jak to było...

Zaciekawiony, pośpieszyłem do pani X..., zajmującej piękny apartament na 10-m piętrze, naprzeciwko Central Parku. Przyjęła mnie z miną rekonwalescentki. Łaknąłem szczegółów tej sprawy. Wiedziałem, że pani X..., będąc dwukrotnie rozwódką, poraz trzeci wyszła za mąż, że jednak nie widziałem jej od 3-ch lat, nie byłem au courant pożycia, które sobie zgotowała.

— Tak, tak... mój drogi — westchnęła pani X... — Nie mam szczęścia. Wyszłam za Andrew przed dwoma laty. I życie moje od tego czasu stało się istnem piekłem.

— Powód?

— Bardzo prosty — pije. A kiedy przebierze miarę, staje się brutalnym i niemal co tydzień bije mnie, niczem tragarz. Wczoraj wieczorem ledwo że mnie nie zatłukł. Musiałam uciec przed jego razami aż do windy i wołać boya na pomoc. Karetką Pogotowia odwieziono go do lecznicy dla alkoholików... I wszystko się skończy — nowym rozwodem.

— Jakże mi jest niewymownie przykro, moja droga Ewelino. Więc wciąż ten alkohol? (O whisky... ileż to zbrodni popełnia się przez ciebie!).

Piękna, jak nigdy, w ślicznym seledynowym desabilu, Ewelina opowiedziała mi swoje przygody.

— Dziś w nocy po raz pierwszy usnę bez obawy, że mnie ktoś zmaltretuje — westchnęła na zakończenie.

*

Parę dni po tem zajściu zdumiałem na widok całej kolumny pod tytułem:

Czy może być uważany za gentlemana mąż, który bije swoją żonę?

A wśród treści — ilustracje, pomiędzy któremi poznałem fotografję mojej przyjaciółki — pięknej Eweliny. Ze zrozumiałem zainteresowaniem zabrałem się do odczytania tego sensacyjnego artykułu:

Oto zeznania, złożone przed sądem przez kilka pań z towarzystwa, które nosiły na twarzy ślady rękoczynów:

Mąż mój bił mnie po twarzy, boksował i kopał bez najmniejszej przyczyny.

Mój mąż, hr. Z... uderzył mnie i usiłował zadusić.

Mój mąż rzucił mi w twarz talerz z jajecznicą.

Mąż mój bił mnie pięściami i groził rewolwerem.

Mój mąż obalił mnie na ziemię, zbił, targał za włosy i wreszcie wyrzucił za drzwi w koszuli nocnej.

W dalszym ciągu tego artykułu dowiedziałem się że owi mężowie bynajmniej nie byli ani łobuzami, ani rozpitymi bandytami, lecz gentlemenami, których poznać można po wykwintnych manjerach — zdejmowania kapelusza, gdy w windzie ujrzą panią, powstawania z miejsca, gdy przyjaciółka podchodzi do stolika restauracyjnego, za którym siedzą z własnemi żonami, lub że nigdy nie ośmielają się wędrować po mieszkaniu bez marynarki. W intymności natomiast czcigodni ci panowie spuszczają istne lanie swoim połowicom...

Niepomiernie zdumiony tą rewelacją o bojach alkowianych, zakłócających spokój domowego ogniska miljonerów, postanowiłem na wszelki wypadek wysłuchać wersji oskarżonych.

Jeden z doświadczonych mężów opowiedział mi co następuje:

— Obawiam się, że skarżące ,o które mnie pan zapytał, mają conajmniej 99 procent racji. Bo widzi pan — najwytworniejszy gentleman, choćby był najmilszym, kiedy jest trzeźwy, wpada w dziki szał po pijanemu... Mężczyźni w naszym kraju nie wylewają za kołnierz. Pociąg do trunków, acz bynajmniej nie chwalebny, jest wadą nieuleczalną. Poczciwy chłop, który chętnie i bez kontroli odda swej żonie książkę czekową, może jednocześnie wracać do domu nad ranem po pijatyce w kółku przyjaciół i niewiele mu trzeba, aby wpadł w furję i zapomniał się. Pieskowi nie zrobiłby krzywdy, życiem ryzykowałby, pragnąc ominąć, gdy prowadzi samochód fox-terrierka. A żonę bije za byle co, a czasem i bez powodu.

Inny mąż natomiast gwałtownie zaprotestował:

— Ani słowa prawdy niema w tych opowiadaniach. Wszystko jest tylko szwindlem, celem uzyskania szybkiego wyroku w sprawie o rozwód... Zdarza się czasem, że bardziej porywczy mąż, łupnie żonie parę klapsów, lecz nie bez winy z jej strony, a wówczas panie dramatyzują i uderzywszy się w goleń o jakiś mebel, skarżą się z płaczem przed forum sędziów, demonstrując z pod jedwabnej pończoszki siniec. To wszystko jest komedją gwoli otrzymania alimentów.

A trzeci mąż twierdzi:

— Chce pan dowodu... Oto naprzykład pewien fakt, o którym jestem doskonale poinformowany. Z jednej strony — niebrzydka kobietka, niezmiernie bogata, miljonerka. Z drugiej strony młody porucznik. Pobierają się. Wkrótce wpływa od niej skarga na męża za obelgi i obrażenia cielesne... Dlaczego?... A było wszak za co, gdyż, jak się okazało, bogata ta małpa zarzucała mężowi, że nie może sprostać jej luksusowym wymaganiom, nieodpowiadającym jego środkom z porucznikowskiej pensji.

Spotkałem się również z następującem zdaniem:

— Naiwny człowieku! Czyż może pan przypisywać jakąśkolwiek wartość tym kłamliwym zeznaniom. Odrazu widać, że nie pojął pan za żonę naszej rodaczki, która cukierkowo uprzejmie traktuje przejezdnych Europejczyków, zachowując całą żółć dla męża, skazanego na ustawiczne jej kaprysy i złe humory. Jeden z moich przyjaciół skarcił surowo moją żonę za to, że flirtuje, pije, gra w pokera i tańczy całemi dniami. Miła ta osóbka uważa nasz dom za przytułek noclegowy, w którym znajduje również kąpiel i kilka toalet na zmianę. No i cóż zrobić? Jeśli mąż, biedaczysko, wyjdzie z równowagi i... odpowiednio ją skarci — każdy sąd winien go usprawiedliwić.

— Uważam wszakże, iż można rozstrzygnąć każne nieporozumienie nie uciekając się do bójki.

— Nie bądźże pan zanadto lojalnym. Bójki te zazwyczaj kończą się korzystnie dla strony, która czuje się pokrzywdzona. Bo chodzi tu o odszkodowanie materjalne, a 50.000 dolarów za kopniaka, toć przecież większy zarobek niźli pobierany przez Jack'a Dempsey'a za knock-out.

Przerwałem na tem moją ankietę. Obawiałem się bowiem, iż uda im się może wyperswadować mi, że prawdziwym gentlemanem jest ten, co tłucze żonę.



— Ach pani! nie mogę się oprzeć czarowi twego egzotyzmu...

Zgon wielkiego Norwega Fridtjofa Nansena

Przed paroma dniami pochowano uroczyście w Oslo jednego z największych podróżników świata, ś. p. Fridtjofa Nansena.

Urodzony w r. 1861 w okolicach Oslo, Nansen ukończył w wieku 21 lat wydział zoologji i w następnym już roku odbył pierwszą swą podróż polarną na żaglowcu „Viking", wysłanym w te strony na połów fok. I choć po powrocie z tej wyprawy Nansen przyjął stanowisko konserwatora muzeum w Bergen, to jednak o karjerze jego życiowej przesądzić miały niezatarte wrażenia z dalekiej północy. W związku z tem Nansen przygotowuje żarliwie podstawy naukowe, na których mógłby oprzeć badanie nieznanych krain podbiegunowych. Pracuje więc z początku pod kierunkiem prof. Danielsena, odbywa podróż naukową do Włoch, gdzie zatrzymuje się przez dłuższy przeciąg czasu w Neapolu, studjując w miejscowej stacji zoologicznej. Jednocześnie z temi przygotowaniami młody uczony poświęca niemało trudu w kierunku utrwalenia w kilku pracach naukowych zasobu zdobytej wiedzy i doświadczeń.

W roku 1888 postanawia zbadać Grenlandję, której znane były dotychczas tylko wybrzeża. Plan wyprawy polegał na przejściu całego kraju przez jego środek, dochodząc do punktu najbardziej wysuniętego na północ. Zadanie zorganizowania tej ekspedycji pod względem materjalnym zostało mu ułatwione dzięki ofiarności pewnego kupca z Kopenhagi, Augusta Gamela. Towarzyszem podróży Nansena miał zostać oficer marynarki norweskiej, kpt. Swedrup. W maju ekspedycja wyrusza z angielskiego portu Leith — w lipcu dobija do brzegów Grenlandji, skąd, po krótkim postoju, spędzonym na przygotowaniu się do definitywnej rozgrywki, śmiałkowie, do których przyłączyło się dwóch eskimosów, rozpoczynają wymarsz wgłąb kraju. Przezwyciężywszy ogromne trudności, piętrzące się na każdym kroku, podróżnicy docierają po 2-ch miesiącach do zachodniego wybrzeża. Okres zimowy został spędzony przez Nansena na opracowaniu bogatego materjału, zebranego w czasie wyprawy, poczem, doczekawszy się lata, Nansen wraca do kraju, gdzie zgotowano mu entuzjastyczne przyjęcie.

Nazwisko Nansena stało się od tej chwili znanem w całym kraju i zagranicą, to też przygotowania do następnej wyprawy, tym razem do bieguna północnego, zostały ułatwione w krótkim przeciągu czasu, a społeczeństwo zdołało bez wysiłku oddać mu do dyspozycji niezbędne środki. Chodziło przedewszystkiem o przygotowanie okrętu, któryby się mógł oprzeć parciu lodów. „Fram", żaglowiec, zaopatrzony w maszynę parową, został zbudowany w tym celu pod osobistym nadzorem uczonego. Przygotowano bagaż, niezbędny dla dokonywania studjów, nie zapomniano również o zapasach żywności, któreby mogły wystarczyć na paroletni pobyt wśród wiecznych śniegów i lodów. Należało wreszcie zaangażować zespół śmiałków — pracowników naukowych i załogę okrętu, ludzi odważnych i zdecydowanych, którzyby chcieli towarzyszyć Nansenowi w podróży. Wszystko to zajęło nie mało czasu i dlatego też przygotowania ukończono dopiero w r. 1893. W czerwcu więc „Fram" odpływa z Oslo, w lipcu zatrzymano się w Bergen i w Tromsö i w końcu tego miesiąca poszybowano w kierunku wybrzeży Syberyjskich. Trzymając się tego lądu po dwumiesięcznej nawigacji dobito do wysp Nowo-Syberyjskich, skąd, jak o tem świadczyły liczne spostrzeżenia, uczynione przez różnych badaczów z prądem morskim, w kierunku biegunowym można było dopłynąć ku celowi podróży. W praktyce jednak okazało się, że jeśli rzeczywiście prąd ten istnieje, to bieg jego jest tak powolny, że wielu miesięcy byłoby potrzeba na przepłynięcie znaczniejszej odległości. Wobec tego nieustraszony podróżnik postanowił porzucić pokład „Frama" i puścić się dalej piechotą. Można sobie wyobrazić, jak wielu dramatycznych przeżyć przysporzyć mogła podobna wędrówka, zwłaszcza, że trwała nie miesiąc, ani dwa, ale aż do lata 1896 r. Podróżnicy dotarli wprawdzie do 86⁰, 13' 33" szer. półn., podczas gdy „Fram" pozostał na szer. 83⁰ 20', Nansen zdobył wiele niesłychanie doniosłych wiadomości o strefach podbiegunowych, lecz ledwo życiem nie przypłacił tego szalonego przedsięwzięcia i gdyby nie pomoc angielskiego okrętu „Windward", z którego inny podróżnik, Jackson, wyruszył na zbadanie ziemi Franciszka Józefa i natrafił na ślady wyczerpanych bohaterów — Nansen i towarzysz jego, porucznik Jehansen, byliby zginęli.

Po powrocie do kraju w r. 1897 Nansen objął katedrę zoologiczną na uniwersytecie w Oslo i zajął się opracowaniem i wydaniem materjałów o swoje wyprawie. Opis podróży na „Framie" i pieszej wędrówki Nansena został wydany we wszystkich niemal językach świata i nazwisko śmiałego podróżnika zostało sławnem na wieki, powiększając grono bohaterów, co przed nim i po nim złotemi zgłoskami zapisali się w księgach bohaterstwa o odkrycie bieguna — Parry, Franklina, Mac Cleure'a, Kane'a, Hayes'a Nordenskjölda, Payera, Loekwooda, Rosa'a, Borchgrevinka, Gerlacha, Peary'ego, Amundsena, Shakletona, Scotta i Byrda.

W latach 1906—1908 Nansen pozostawał na stanowisku posła norweskiego w Londynie, w ostatnim zaś dziesiątku lat poświęcił się całkowicie sprawie jeńców wojennych i emigrantów rosyjskich, ratując w Rosji setki tysięcy ludzi od głodu, niosąc im pomoc i moralne pokrzepienie. Zbożna działalność ta wielkiego męża Norwegji zyskała mu w r. 1922 wielką nagrodę pokojową Nobla.

Droższą nagrodą dla Nansena była dozgonna wdzięczność setek tysięcy Rosjan, których wyratował od niechybnej śmierci głodowej

Dzień pogrzebu ś. p. Nansena w Oslo był dniem ogólnej żałoby w całym kraju.



Wielki podróżnik podbiegunowy, Norweg, Fritjof Nansen, zmarł w tych dniach w Oslo.

Pamiętajcie o VII-mym tygodniu L. O. P. P.



Venizelos z małżonką na wielkim festivalu delfijskim.



Jedną z atrakcyj wiosennego sezonu był bal „Perkalu Polskiego".



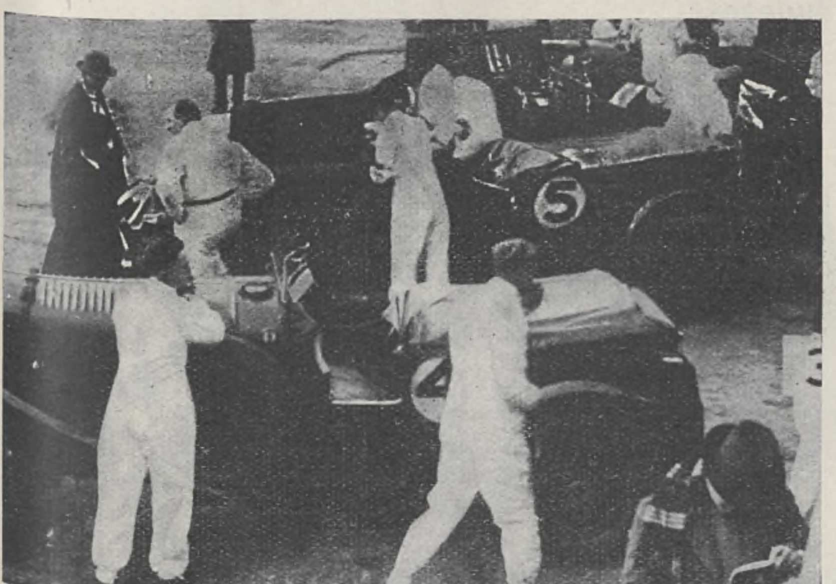
Książę Takamatsu z małżonką w drodze Europy.



Zgon ś. p. ks. biskupa Lisieckiego okrył głęboką żałobą lud śląski.



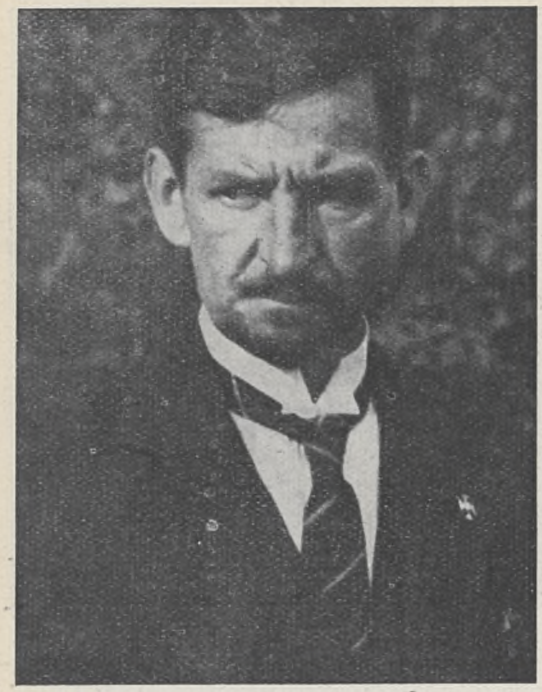
Gwiazdeczki ekranu — siostry Mawby u Bernarda Shawa.



Zgórą trzystu zawodników stawało do wyścigu samochodowego w Brooklands (U. S.).



Skauci japońscy w zastępstwie konduktorów podczas strajku generalnego w Tokjo.



Jeden z ostatnich portretów zmarłego poety ś. p. Władysława Orkana.

Co słychać na świecie

W wyborach uzupełniających do Sejmu Rzeczypospolitej w okręgu łucko-rówieńskiego na Wołyniu wzięła udział zaledwie trzecia część ludności, uprawnionej do głosowania. Wobec powstrzymania się od udziału w wyborach listy B. B., największą liczbę głosów skupiła na sobie lista Nr. 18 zblokowanych mniejszości narodowych.

*

W południowo-wschodnich powiatach woj. stanisławowskiego powódź zalała pola i łąki i w wielu miejscach zerwała komunikację kolejową; z 300 domów usunięto ludność; całemu szeregowi domów pozatem grozi niebezpieczeństwo.

*

Dnia 15 b. m., we czwartek, zamknięta została 59-ta sesja Rady Ligi Narodów, która tym razem nie trwała nawet tygodnia. Program sesji nie zawierał punktów, któreby budziły kontrowersje śród przedstawicieli mocarstw, zresztą coraz bardziej wchodzi w zwyczaj, iż na plenarnych posiedzeniach debatowane są te tylko kwestje, które już poprzednio uzgodniono dokładnie na naradach poufnych. Uwagę świada politycznego skupił też na sobie nie program oficjalny, lecz spotkania prywatne przedstawicieli Francji i Włoch, Francji i Niemiec, a wreszcie Polski i Niemiec. Na tych ostatnich p. min. Zaleski omówił z p. min. Curtiusem szereg aktualnych zagadnień z dziedziny stosunków polsko-niemieckich. Z Genewy p. min. Zaleski udał się do Londynu w charakterze prywatnym.

*

Ambasador Francji w Warszawie, p. Laroche, doręczył w d. 17 b. m. naszemu M. S. Z. memorandum p. min. Brianda w sprawie unji federalnej europejskiej; memorandum to zostało złożone jednocześnie rządom wszystkich 27 państw europejskich, będących członkami Ligi Narodów. Celem zasadniczym memorandum p. Brianda jest powołanie komitetu ogólno-europejskiego, któryby dążył do opracowania programu organizacji europejskiej drogą współdziałania w dziedzinach ogólnego gospodarstwa, środków ekonomicznych, komunikacyj i tranzytu, finansów, pracy, higjeny, współpracy intelektualnej, stosunków międzyparlamentarnych, administracji i t. d. Federacja europejska nie byłaby bynajmniej skierowana przeciw tym państwom, któreby w skład jej nie weszły; członkom zaś swym pozostawiałaby zupełną suwerenność.



Światowej sławy śpiewaczka, p. Ada Sari, występuje w Teatrze Wielkim. Podkreślić należy, że artystka odśpiewała całą partję „Lakme" po polsku. Dn. 23 b. m, t. j. w piątek, występuje w „Traviacie".



Nowomianowany poseł łotewski, min. Grosvald, przybył do Warszawy.

*

Jeden z dzienników paryskich donosi, że sowiecka misja handlowa w Londynie nabyła 30 czołgów, których nie przyjął rząd angielski ze względu na zbyt małą szybkość. Sowiety zapłacić miały podobno za czołgi te znacznie więcej ponad cenę, jaką zapłacić miał rząd angielski. Czy jednak zapłacono gotówką czy wekslami — o tem dziennik paryski nic nie wie.

*

Zbiegowie z Kaukazu, jacy znaleźli się na terytorjum tureckiem, informują, że ruch powstańczy na Kaukazie przybrał charakter masowy. Rozpoczął się on w Azerbejdżanie, gdzie oddziały powstańcze walczą zwycięsko z wojskiem sowieckiem. Bezpośrednią przyczyną połączonego powstania azerbejdżańsko-gruzińsko-ormiańskiego są represje władz sowieckich wobec ludności, opierającej się kolektywizacji.

Urzędnicy sowieccy częściowo chronią się na terytorjum perskie.

Polowanie na lwa... w lasach Francji

(Korespondencja własna z Paryża).

Czy lubicie dobre historyjki?

Wyobraźcie sobie, że od niejakiego czasu jakiś gruby zwierz, tajemnicza jakaś, a nieuchwytna, rozpasana bestja grasuje po lasach francuskiego Sud-Ouest'u. Weźcie pod uwagę, że na ziemiach Francji jakby nigdy nic, być może już od roku żyje sobie podzwrotnikowy drapieżnik — lew, pantera, jaguar, albo może sam tygrys — jak w dżungli afrykańskiej, wychodząc tylko nocami ze swej kryjówki na łów.

Od kilkunastu dni w okolicach miasta Agen o niczem się nie mówi, jak o tym drapieżniku, a raczej o dwóch, gdyż widziano w jego towarzystwie drugiego, podejrzanego, choć mniejszego, zwierza (coś jakby drugie już pokolenie). O niczem się nie mówi w tej okolicy, gdzie panuje zrozumiałe poruszenie, jak o obławach, o dzikich rykach w nocy, o dziesiątkowanych stadach bydła.

Najpierw był okres sceptycyzmu... „Jakto? To nie możliwe" — wykrzykiwali jedni i drudzy. Uznano całą tę historję za niezbyt dowcipną anegdotkę, którą przypisano znanemu blagierstwu Gaskończyków.

Ale mimo to wiadomości o zagadkowym lwie nie ustawały... Wielka prasa wysłała na miejsce swoich korespondentów, którzy poczęli znajdować dziwne ślady w lasach i wypytywać okolicznych wieśniaków, którzy kategorycznie stwierdzili obecność dzikiej bestji w lasach naokoło Agen. Ale czem naprawdę jest to enigmatyczne bydlę: lwem, ogromnym wilkiem, czy też poprostu zdziczałym psem—włóczęgą. Nikt tego nie umie powiedzieć, bo nikt nie widział tego zwierza zbliska. Specjaliści uznali jednak ślady, znajdywane po lasach, za ślady lwa albo tygrysa, albo, w każdym razie, za jakiegoś grubego drapieżnika z rodziny kotów. Przypomniano sobie niedawną powódź i postanowiono zgodnie, że jest to lew, którego woda uniosła z menażerji przejezdnego cyrku w miasteczku Moissac. Dopiero kategoryczne oświadczenie właściciela cyrku, że mu żadne zwierzę nie zginęło, wzbudziło niejakie powątpiewania co do pochodzenia zagadkowego lwa, co nie przeszkadza bynajmniej jego istnieniu, wyrażającemu się chociby w ogryzionych kościach i znikaniu bydła.

Z kolei więc zapanował okres paniki. Rozpalona imaginacja mieszkańców okolic, nawiedzionych klęską lwów, widziała włóczącą się lwicę ze swojem młodem, wszędzie naokoło, w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Pewien komiwojażer miał ją spotkać na środku drogi, przed swoim samochodem. Można sobie wyobrazić konsternację, z jaką przyjęto jego opowiadanie o tem zdarzeniu przy table d'hôte w Agen. On sam podobno był cały blady i długo nie mógł ochłonąć z wrażenia.

Rzecz jasna, że władze nie mogły się z założonemi rękami przypatrywać temu bezkarnemu grasowaniu drapieżników w lasach Francji. Pierwsza wyruszyła do boju żandarmerja, przebiegając z nabitemi karabinami lasy i urwiska, bez najmniejszego zresztą sukcesu. Sprowadzono zatem wytrawnych myśliwców, dla których dżungla afrykańska nie nowina. Mimo, że okres zakazu polowania trwa w całej pełni, organizuje się olbrzymie obławy, w których bierze udział po kilkaset osób. Dwukrotnie strzelano po nocy do tego nieuchwytnego zwierza, bez najmniejszego skutku. W jednej z obław wzięła udział cała rada gminna jednej z najbardziej „zagrożonych" miejscowości. Jak łatwo się domyśleć, obecność tych „wybrańców ludu" w najmniejszej mierze nie przyczyniła się do powodzenia obławy, naodwrót, dyskredytują ją, czyniąc ją całkowicie operetkową. Nie pomaga zastawianie sideł i podrzucanie zabitych kóz na przynętę... „La bête court toujours" (zwierz lata ciągle) — jak mówią Francuzi.

Nadszedł wreszcie okres trzeci, który teraz panuje, okres atrakcji. Zewsząd zbiegają się i zjeżdżają samochodami amatorzy silnych wrażeń, do posiadłości niejakiego p. Bielle, która znajduje się w miejscu, najbardziej wysuniętem w stronę niebezpiecznego intruza, aby zobaczyć zwierza, albo przynajmniej miejsca, gdzie się coś dzieje. Przypomina to najpiękniejsze dnie Glozel, dokąd ciągnęły miesiącami całe karawany turystów, by zobaczyć słynne, choć namiętnie krytykowane i dy-

(Dalszy ciąg na str. 16-ej.)

Higjena skóry głowy.

Ze wszystkich części ciała ludzkiego wydziela najobficiej skóra głowy oleisty tłuszcz. W rzadkich tylko wypadkach napotyka się suchą skórę głowy. Oleisty tłuszcz jełczeje łatwo w temperaturze ciała, a do szybkiego jełczenia przyczyniają się włosy i nakrycie głowy. Proces jełczenia polega na tworzeniu się kwasów tłuszczowych, które warunkują stan zapalny skóry w postaci łupieżu, wyprysków, swędzenia i przenikliwej woni, którą wyczuwa się nawet z odległości. Łatwo zrozumieć, jak szkodliwie stan taki działa na korzonki włosów, jak niszcząco wpływać musi namaszczanie włosów tłuszczami. Zapobiec można wzmiankowanym przypadłościom, a zarazem zupełnie *odwonić* skórę i włosy — *zobojętnieniem* kwasów tłuszczowych. Ani mydłem, ani żółtkiem nie osiągnie się celu, jedynie tylko częstem myciem *Shampoonem Dra Lustra*, który dostosowany jest ściśle do wydzielniczych funkcji skóry głowy oraz do koloru włosów. Uwagi powyższe powinni przyswoić sobie też i — mężczyźni, zwłaszcza przy sporcie.

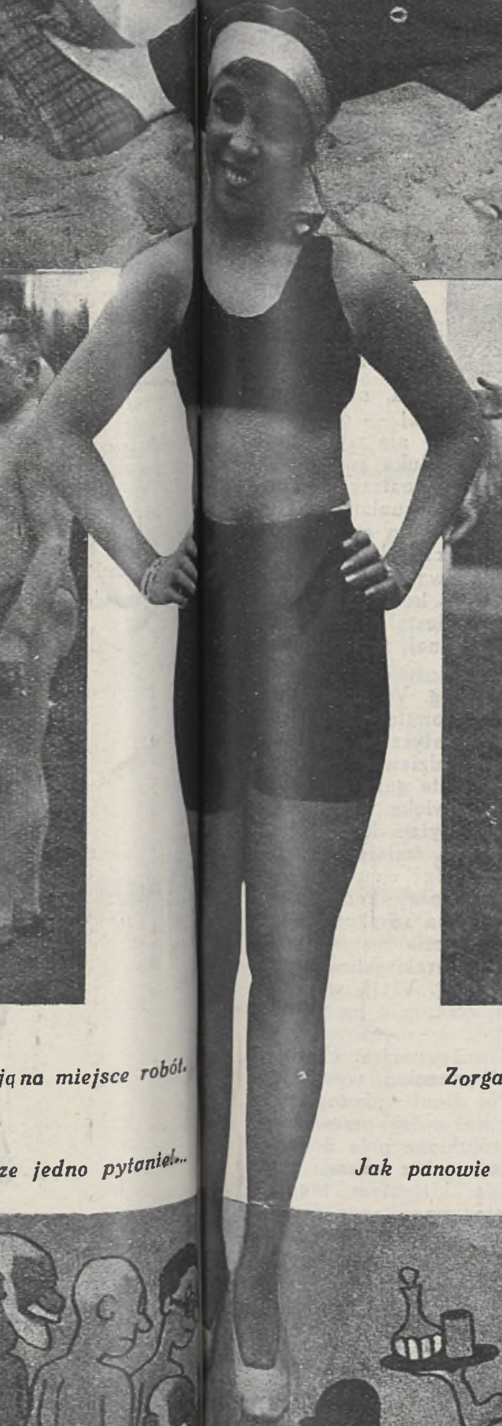
W stroju prarodziców





Czyż to nie jest przyjemnie rozegrać partyjkę, wypacając nadmiar tłuszczu pod palącem słońcem.

Nudyści francuscy założyli swój obóz w okolicach L'Ile de Villenes, gdzie rozpoczęli budowę boisk sportowych. Pierwsze transporty ziemi przybywają na miejsce robót.





Zorganizowana pod kierunkiem dr. Andre i Henri Durville sekta nudystów francuskich, z zapałem uprawia ćwiczenia na wolnem powietrzu.

W pięknej rzeczy Pierre Louys'a p. t. „Le roi Pausole", czytamy o pewnym fantastycznym kraju, rządzonym przez króla poczciwca, tolerującego, a nawet nakazującego noszenie się zgoła *(c'est le mot)* prymitywne — bez żadnego okrycia. Pamiętam jednak, co łatwo zresztą sprawdzić, że nago się nosili w owym kraju tylko ci, których przyroda obdarzyła pięknemi kształtami, król bowiem, acz mocno już stary, nie znosił widoku brzydoty. Mądrym był monarchą — a Pierre Louys... poetą.

Lecz oto dziś, a zwłaszcza w ostatnim dziesiątku lat, propagowanie kultu nagości stało się przywilejem nie poetów, a uczonych profesorów, ludzi statecznych i doświadczonych, którzy ukuli następującą teorję: stworzeni jesteśmy do życia nago, tak samo, jak przychodzimy na świat, tak samo, jak żyje cały szereg ludów pierwotnych; uczucie wstydu z powodu nagości jest sztucznie nabyte skutkiem długotrwałego atawizmu; nagość upraszcza wiele zagadnień, nad któremi zastanawiają się uczeni, zarówno z punktu widzenia higjeny, jak i moralnej; jeśli przyzwyczaimy pokolenia do nagości, to tem samem odwiedziemy je od błądzenia po niezdrowych manowcach i t. d. i t. d.

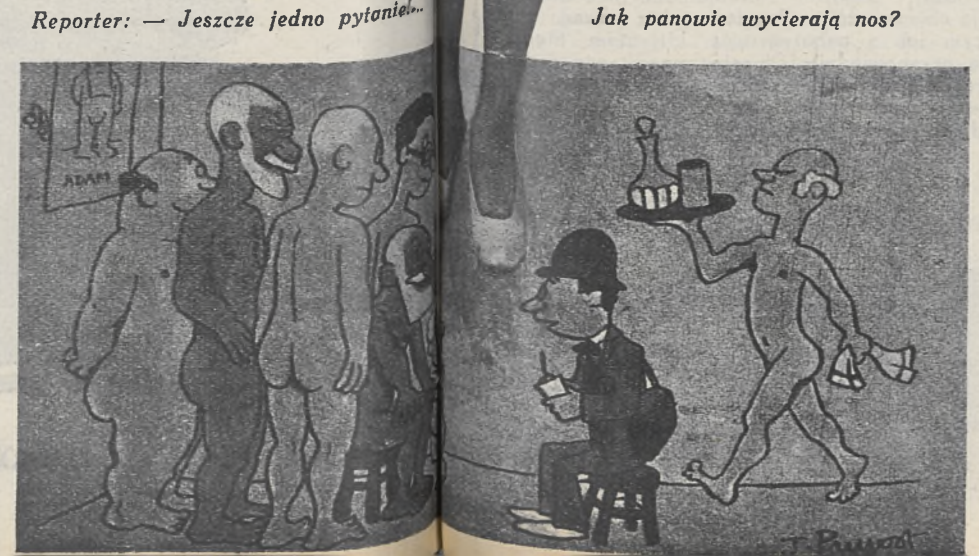
Niemieccy profesorowie, hołdujący temu kultowi, powołują się nietylko na teorję, lecz twierdzą, że zrozumienie tej sprawy jest wynikiem stopniowej ewolucji, powstałej wśród narodów germańskich, a zapoczątkowanej w r. 1855 przez austrjaka, Rikli, który twierdził, że słońce jedynie i kultura fizyczna mogą podnieść rasę. A po nim znów szkoła Steglitza rozpoczęła w r. 1877 wojnę przeciw wszelkim przesądom w dziedzinie moralności i t. zw. przyzwoitości obyczajów. Pastor Weideman — znów Niemiec — opowiedział się za kultem nagości, twierdząc, że zwyczaj ten jest zgodny z tradycją germańskich narodów, które wszak uważać można za będące wzorem cnoty (!)

I istotnie, drogą powolnej ewolucji pojęć niemieccy uczeni doprowadzili do stworzenia kilku dość licznych grup „nagusów", zrzeszonych — jak przystało germanom — w stowarzyszenia, jak np. berlińskie, noszące długą nazwę „Arbeitsgemeinschaft Bunde für Freikörper Kultur", dysponujące w mieście zakładami koedukacji, że tak powiem, golizny, pływalniami, salonami gimnastycznemi i t. p. urządzeniami, pozostającemi pod światłem kierownictwem profesorów Adolfa Kocha, Hagemanna, Zimmermanna i innych. Ruch ten rozszerzył się również po całym kraju i w okolicach większych miast, sąsiedzi nasi posiadają parki-osiedla, w których uprawiają kult nagości. Adolf Koch posiada więc oddziały w Hamburgu, w Dreźnie, w Mannheim, w Ludwigshafen. Zimmermann prowadzi podobną instytucję w Klingsberck (koło Lubeki), Hagemann jest kierownikiem szkoły tańca w Hamburgu, berlińczycy zaś, nie mogący wyjechać w dalsze okolice podczas letnich wywczasów, posiadają park dla „nagusów" w Motzenmühle.

Kult nagości w Niemczech posiada bogatą literaturę i prasę perjodyczną o suggestywnych tytułach: *Ideal Lebenbund, Leben und Sonne, A. S. A., Kultur Album, Die Freude, Lachendes Leben, Schämmst du nicht* i t. d. i t. d., którym zaprzeczyć nie można pięknego wydania i których wpływ, jak daje się to zauważyć, dociera nawet do prasy, nie poświęconej specjalnie tym zagadnieniom (nie wiem tylko, czy również z powodu ewolucji pojęć, propagowanej przez uczonych „nagusów").

Ciekawem zjawiskiem do zanotowania jest to, że kult nagości, który i we Francji, acz w mniejszej ilości, posiada swoich zwolenników, nie został doprowadzony do golizny integralnej, lecz próbuje jeszcze — co przez „nagusów" niemieckich poczytywane jest za perwersję — trzymać się ram pewnej skromności. Zwolennikom metod d-ra Durville'a i de Mongest chodzi raczej o czynnik higjeny fizycznej, niżli o propagowaną równolegle przez Niemców ewolucję, a raczej rewolucję. pojęć duchowych.

Reporter: — Jeszcze jedno pytanie... *Jak panowie wycierają nos?*



To też we Francji (skąd zaczerpnęliśmy ilustracji do niniejszego artykułu) towarzystwa, jak *Trait d'Union* lub *Société Naturiste*, założone przez d-ra Carton i d-ra Durville, uważają za niezbędne noszenie w parkach kultury fizycznej przepisowego stroju.

Największa kolonja „nagusów" we Francji mieści się w okolicach Paryża, na wyspie, położonej wśród biegu Sekwany, w Villennes. Zwolennicy nagości zbierają się tam w kostjumach i nie różnią się od plażujących, do których już przywykliśmy nawet w miastach, jedynie tem, że dla zdrowia muszą uprawiać ćwiczenia gimnastyczne. W niedziele można tu spotkać nie więcej tysiąca „nagusów", a wśród nich mniej liczną grupę, przybyłą już w przeddzień, aby zażyć odpoczynku na otwartem powietrzu, w namiotach.

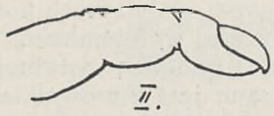
I przyznać trzeba, że jeśli chodzi o zrealizowanie teorji jednego z najbardziej radykalnych „nudistów" francuskich, d-ra Vachet (autora ciekawego dzieła p. t. *La nudite et la physiologie Sexuelle* — to cel jest osiągnięty w pełni.

Możeby jedynie król Pausole, poczciwy monarcha, wolał, żeby ludzie o szpetnych kształtach zrezygnowali z kultury fizycznej i zostawali u siebie w domu.

Ręka i charakter



Wąskie, blade, czterokątne paznokcie zdradzają instynkty przestępcze.



Wąskie, długie, o żółtawym odcieniu paznokcie, spotyka się u ludzi niestałych, dumnych i żądnych panowania.



Niezgrabna ręka oznacza brutalność (czasami również dobroduszność), tak samo, jak nadmiernie wyrobiony kciuk.

Z pośród całego ogromu t. zw. zdobyczy wiedzy ludzkiej zasługuje na uwagę chirologja, uważana przez jednych za środek szarlatanerji, przez innych za niezgłębioną jeszcze do gruntu poważną naukę, która przez wiele stuleci przechodziła szereg ewolucyj.

Zastosowanie tej dziwnej wiedzy leży w granicach pedagogiki (źle wychowane dzieci, wybór zawodu), medycyny (szczególniej ginekologja i psychjatrja) oraz kryminalistyki.

Zanim przystąpimy do zbadania przykładów, opartych na praktyce, musimy z konieczności poruszyć kilka zasadniczych punktów teoretycznych.

Przedewszystkiem, czysta chirologja powinna posiadać tylko własny cel, sama dla siebie, nic nie mający wspólnego z wróżeniem i przepowiadaniem przyszłości. Oczywiście, jest rzeczą nieuniknioną, a często nawet konieczną w poszczególnych wypadkach, że chirolog, odcyfrowujący usposobienie człowieka z jego ręki, może, coprawda, z bardzo mglistem prawdopodobieństwem „przepowiedzieć" przyszłość. Nie jest to jednak niczem szczególnem, gdyż z łańcucha przyczynowego, wypisanego z całą dokładnością i z najdrobniejszemi szczegółami w subtelnych znakach na dłoni, można z większem lub mniejszem odchyleniem wysnuć łańcuch najbliższych skutków. Jest rzeczą ciekawą, że człowiek, chociaż o tem nie wie, najlepiej zna swój charakter i swoją przyszłość. Dlatego współczesny chirolog osiąga swój cel, jak również wzbudza zdumienie u pacjenta, który w rozmowie o wszystkiem chirologa bezwiednie informuje, a następnie przy porównaniu pewnych szczegółów rozmowy z hieroglifami jego dłoni, daje pełną i jasną djagnozę charakteru. Innym systemem kierowali się pierwsi chirolodzy, którzy nie dawszy dojść klijentowi do słowa, szczegółowo badali dłoń, by potem wypowiedzieć swoją opinję mniej lub więcej udatną.

Szczegółem charakterystycznym, wspólnym większości klijentów, udających się o radę i pomoc do chirologów, jest kłamstwo, które obficie przyprawiają swą spowiedź. Lekarze twierdzą, że jest to objaw samooszukaństwa, względnie t. zw. „świętego kłamstwa", stosowanego przez otoczenie. Jednakże chirolog, spojrzawszy na dłoń pacjenta, w tej chwili prostuje nieścisłości, a to zdemaskowanie, uważane przez kłamcę nieomal za cud, staje się nagle pomocą przy ostatecznej djagnozie, gdyż kłamca zaczyna teraz mówić samą prawdę. Te wypadki, występujące licznie na porządku dziennym, znane są pedagogom, lekarzom oraz kryminologom najnowszej szkoły. Znane im jest również zjawisko wahania się ludzkiej psyche pomiędzy *dobrem* i *złem*, *moralnem* i *niemoralnem*. I wydaje się to paradoksalnem, że pojęcia te biegunowo ze sobą różne, występują ze sobą równolegle. Dobro zbiega się w licznych wypadkach ze złem, tak samo, jak u człowieka normalnego występują często przejawy anormalności.

Nieskończenie ważną rzeczą jest przy ocenie jakiegoś człowieka, świadomość jego osobistych warunków życiowych, która gra najwybitniejszą rolę w jego postępowaniu, mimo jaknajlepszych wrodzonych przymiotów oraz systemu wychowania i wykształcenia. Dlatego jest jasnem, że tak wielu ludzi, pomimo wybitnie przestępczych cech charakteru, unika w ciągu całego swego życia znajomości z więzieniem, ponieważ ich pozycja socjalna i związane z tem dobro materjalne, nie dają mu potrzeby popełniania przestępstw. Urodzeni zaś kryminaliści, którzy pędzą swój żywot w nędznych warunkach, łatwo popełniają zbrodnie, ponieważ nie znajdują w sobie żadnej dźwigni moralnej, któraby ich od tego powstrzymywała. Odwrotnie, ludzie, nie wykazujący w swym charakterze żadnych przestępczych skłonności, często stają w niezgodzie z prawem. Spróbujcie kiedyś powiedzieć panu X: „Ten twój przyjaciel Y, postępuje, jak ostatniego gatunku obwieś". Otrzymacie momentalną odpowiedź: „Ależ to śmieszne! Znam tego człowieka od dzieciństwa, jest to najuczciwszy i naszlachetniejszy człowiek na świecie!" Rację ma pan X; ponieważ jego przyjaciel nie popełnił żadnego jaskrawego przestępstwa ani zbrodni, karanej przez ludzką sprawiedliwość. A jednak, coś jest nie w porządku. Gdyby pan Y wychował się w innem środowisku i podlegał passom złych wpływów, w których „niema się nic do stracenia", byłby otwartym przestępcą.

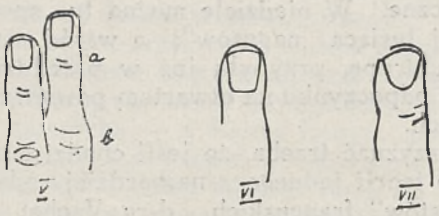
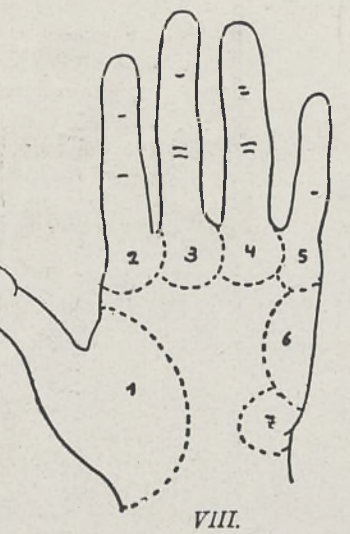


Fig. V. Zgrubienie a oznacza głęboki umysł, b — praktycznego pedanta. Czterokątne i zlekka rozszerzone u góry paznokcie, na fig. VI, oznaczają zdolności techniczne, zaokrąglone, na fig. VII — artystyczne.

Obecnie ogranicza się do drobiazgów, traktowanych z dobrotliwym uśmieszkiem jako oryginalny rys charakteru. Przytacza zdania innych, twierdząc, że są jego własnością, nie zwraca pożyczonych książek, z hotelu, w którym stoi, zabiera papier listowy i t. p. Są to drobne przestępstwa, przez wszystkich usankcjonowane. Czy on je popełnia przez próżność, czy też przez skąpstwo? Nie! Przyczyna leży głębiej. Jego wrodzone zdolności przestępcze duszą się w sztucznej dla nich atmosferze, a powyżej przytoczone fakty są jakby wentyle, przez które mogą zaczerpnąć haust powietrza. Należy więc pana Y. uważać za włamywacza, względnie anormalnego. Tak, ale w takim razie, chcąc karać takich panów Y, trzebaby było cały świat zamienić w więzienie...



VIII.

Siedem „wzgórz". Pierwsze z nich oznacza żądzę użycia i zmysłowość, drugie — dobroduszność i próżność, trzecie — wyrachowanie i kłamliwość, piąte — zmysł kupiecki i przedsiębiorczość, szóste — moc i odwagę, siódme — skłonność do marzycielstwa i fantastycznych rojeń.

Z ręki można odczytać, z nielitościwą dla pacjenta pewnością, wszystkie ukryte, głęboko drzemiące instynkty. Jednakże ciekawym jest fakt, że nie z pojedyńczego znaku można odcyfrować skłonności charakteru, ale z mięśni i palców, które, oddzielnie zbudowane i razem ze sobą powiązane, tworzą całkowity obraz charakteru. Badania nad sklasyfikowaniem typów rąk były przedmiotem długoletnich studjów. Oczywiście, że są pewne ustalone znamiona, pozwalające wyćwiczonemu oku zgóry określić dominujący rys charakteru. Można na pierwszy rzut oka odróżnić rękę „czynną" (aktywną) od „nieczynnej" (passywnej), używającego życia od ascety, prawdomównego od kłamcy, człowieka realnego od fantasty i t. d.

Istnieją jednak t. zw. ręce „patologiczne", które, ażeby poznać i sklasyfikować, należy poddać specjalnym studjom. Należy również zauważyć, że wbrew mniemaniu, jakoby ręka zmieniała swój charakter od wpływów zewnętrznych, jak np. sport, ciężka ręczna praca i t. p., zasadnicze i podstawowe jej rysy nigdy się nie zacierają i żadne choroby ani nieszczęścia, związane z późniejszą ułomnością ręki, nie przeszkodzą chirologowi do jej dokładnego odczytania. Jako przykład wpływów zewnętrznych, deformujących pierwotny kształt palców, mogą posłużyć palce stenotypistki lub wirtuozów fortepianowych, u których poduszeczki palców są spłaszczone, a skóra na nich jest zgrubiała.

Dla tem łatwiejszego odróżnienia charakterystycznych rąk i wytłómaczenie graficznie o typowych różnicach, zachodzących w ich kształtach, posłużą załączone do niniejszego artykułu rysunki.

Człowieka, o wrodzonych skłonościach przestępczych, owego, wspomnianego powyżej pana Y, poznamy po wąskich, bladych palcach, zakończonych kwadratowemi, łamliwemi paznokciami, o odcieniu niebieskawem lub żółtem (fig. I).

Paznokcie wąskie, długie, sklepione, oznaczają: nieszczerość, zręczność, dumę i żądzę panowania (fig. II).

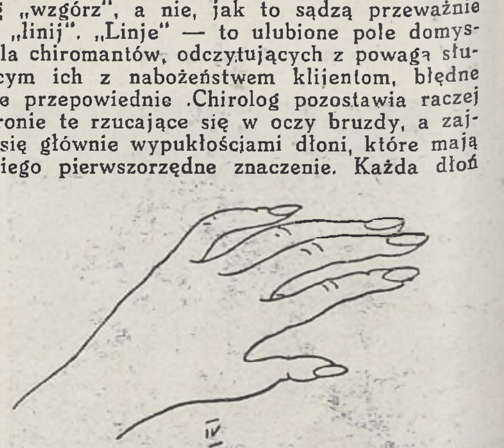
Brutalność zdradza nietylko ciężka, niezgrabna (czerwono zabarwiona) ręka (fig. III) — oznaczająca jednocześnie dobroduszność — ale wystarczy nam tylko wystudjować rozwój kciuka (wielkiego palca), by postawić tę djagnozę. Znalazłszy bowiem nadmiernie rozwinięty kciuk, u stosunkowo delikatnej ręki, możemy z całą nieomylną stanowczością twierdzić o brutalnej cesze charakteru.

Rysunek IV przedstawia typową dłoń kobiety o małej moralnej wartości, t. zw. kobieciątka: lubującej się w luksusowem życiu, niestałej, nieszczerej, złej, marnotrawczyni, podstępnej, małostkowej i zazdrosnej.

Na pierwszym członie palca (fig. V) mamy guz (należy go odróżnić od guzów, powstałych naskutek artretyzmu), którego, systematycznie myślący chirolog, winien się również spodziewać na drugim członie palca (fig. Vb). Oba te guzy na członach palca charakteryzują człowieka, lubiącego porządek, pracowitego. Jeżeli przytem kształt paznokci przypomina trapez, można śmiało określić ich posiadacza jako pedanta i „silny charakter".

Czterokątne paznokcie, lekko przy końcu rozszerzone (fig. VI), bez względu na wielkość całej dłoni, zdradzają zdolności techniczno-matematyczne i są własnością inżynierów i architektów, podczas kiedy paznokcie okrągłe (fig. VIII), w połączeniu z innemi szczegółami, wskazują na skłonność do muzyki i literatury.

Żeby jednak uzyskać całkowity portret charakteru, należy, prócz palców i paznokci, wystudjować pozostałą część dłoni. Na dłoni widzimy cały szereg „wzgórz", a nie, jak to sądzą przeważnie laicy: „linij". „Linje" — to ulubione pole domysłów dla chiromantów, odczytujących z powagą słuchającym ich z nabożeństwem klijentom, błędne zwykle przepowiednie. Chirolog pozostawia raczej na stronie te rzucające się w oczy bruzdy, a zajmuje się głównie wypukłościami dłoni, które mają dla niego pierwszorzędne znaczenie. Każda dłoń



Dłoń „kobieciątka", kochającego się w luksusowem życiu, niestałego, zazdrosnego i złego.

posiada siedem wzgórz, mniej lub więcej rozwiniętych, których najróżnorodniejsze wysokości, szerokości i kształty, w niezliczonych kombinacjach tworzą klucz do kreślenia charakteru, jak również w większości wypadków, przyszłego losu.

Jeżeli „wzgórze" kciuka jest silnie rozwinięte (fig. VIII, 1), możemy z całą pewnością stwierdzić, że jest to cechą człowieka, chciwego użycia, powierzchownego i zmysłowego. (Rysunek VIII wskazuje tylko na rozmieszczenie wzgórzy, gdyż profilowanie ich, w przeróżnych kombinacjach, wyszłoby poza ramy niniejszego artykułu). Silnie rozwinięte wzgórze, pośrodku przecięcie dłoni (fig. VIII, 6) wskazuje na człowieka, zmęczonego troskami, a przytem nie znającego żadnej wartości, który chętnie pije, gra i lubi rozmaite niewybrednego gatunku przygody. Z posiadaczy tej wybitnej cechy dłoni rekrutują się apasze, dezerterzy, jak również poszukiwacze przygód. Kombinacja 1 i 6 wzgórza, na tej samej dłoni, o ile ręka przytem jest „miękka", rzeźbi usposobienie „poczciwej zbrodniczości", którą cechują publiczne kobiety i sutenerstwo. Przy „twardej" dłoni, oznacza zdobywczość kobiet, pozbawioną wszelkich skrupułów.

Wzgórze 3, w połączeniu z 1 i 6, daje bardzo ponure prognostyki, ponieważ wzgórze to, odpowiadające środkowemu palcowi, o ile jest silnie rozwinięte, oznacza charakter zimny, wyrachowany i kłamliwy. Dlatego kombinacja wymienionych trzech wzgórz charakteryzuje jednostkę o wybitnie kryminalistycznych skłonnościach. Jeżeli wzgórze 3 jest natomiast słabo rozwinięte, poprzednie cechy przybierają formę ostrożności, spokoju, opanowania, zastanowienia.

Określanie stopnia rozwoju wzgórz (nadmierne, normalne, słabe) jest niemożliwe przy studjach teoretycznych, jedynie długa praktyka, na „żywym" materjale daje dodatnie wyniki.

Silnie rozwinięte wzgórze 7, na białej, delikatnej dłoni obrazuje człowieka, żyjącego marzeniami, fantazją i niewytłomaczonemi tęsknotami. W połączeniu z innemi cechami marzycielstwa, jest udziałem patologicznego łgarza. Histeryczki i zniewieściali mężczyźni posiadają to wzgórze bardzo wypukło rozwinięte. Harmonijnie zbudowana ręka, silna, aktywna, opowiada nam o artystycznych, pełnych fantazji zdolnościach, oraz o umiłowaniu jakiegoś ideału, dla którego dany osobnik jest gotów na największą ofiarę. Rozwinięte nadmiernie wzgórze 7, na zbyt długiej, delikatnej i słabej dłoni, znajdujemy u osób, skłonnych do mistycyzmu i ascezy, lub też do jakiejś idee fixe, która często przeradza się w nadmierny erotyzm. W połączeniu ze wzgórzem 3, wskazuje na znaczne wartości duchowe. Połączenie wzgórz 4 i 7 daje nam charakter o wybitnie artystycznych zdolnościach; jeżeli dojdzie do tego silnie rozwinięte wzgórze 5, właściciel tej szczęśliwie zbudowanej dłoni odznacza się pilnością, szybką orjentacją i decyzją, honorem i zmysłem praktycznym. Na wspólnej z nim platformie znalazłby się posiadacz wydatnego wzgórza 2. Jego prawy, idealny charakter, liberalizm w stosunku do zjawisk i ludzi oraz wielkoduszność w ujmowaniu najzawilszych problemów życiowych, oto kamienie milowe jego całego życia. O ile do Nr. 2 dodamy wzgórze Nr. 1, to otrzymamy typ człowieka, silnie odczuwającego otaczające go zjawiska życiowe, poskromiciela instynktów zwierzęcych, występujących tak często u ludzi słabego charakteru i pozbawionych woli.

Fatalnie odbija się na człowieku kombinacja wzgórz 3 i 5, o ile występuje na dłoni wiotkiej, bladej, a przytem wilgotnej: u mężczyzn oznacza to pochop do bezlitosnej lichwy, u kobiet podatny grunt do trucicielstwa.

Dłonie, wykazujące anomalje seksualne, są własnością zarówno zboczeńców na tle uczuciowem i chorych umysłowo, jak również i osobników, zdolnych do najwyższych uniesień artystycznych, gdyż genjusz graniczy z obłędem i zbrodnią, a wąska miedza, oddzielająca jedno od drugiego, jest łatwą do przekroczenia.

Co o tem twierdzą uczeni chirolodzy, będzie tematem artykułu, który się wkrótce w „7 Dniach" ukaże. *(g).*

REPERTUAR TEATRÓW

WIELKI
dn. 22 b. m. „Borys Godunow"
dn. 23 b. m. „Traviata" (gościnny występ Ady Sari)
dn. 24 b. m. „Faust" z „Nocą Walpurgji"
dn. 25 b. m. „Konrad Wallenrod"
dn. 26 b. m. — przedstawienie zawieszone

NARODOWY
dn. 22 i 23 b. m. „Dom serc złamanych"
od dn. 24 b. m. „Wyprawa kapitana Scotta do Bieguna Południowego"

LETNI
codziennie „Maman do wzięcia"

POLSKI
codziennie „Słaba płeć"

MAŁY
„Piorun z jasnego nieba"
od dn. 28 b. m. codz. „Papa"

QUI PRO QUO
codziennie „Budżet wiosenny"

MORSKIE OKO
codziennie rewja p. t. „Uśmiech Warszawy"

WESOŁY WIECZÓR
rewja p. t. „Czy pani lubi bez?"

TEART DEI PICCOLI
(Wodewil, Nowy Świat 43)
od dn. 23 b. m. codziennie — teatr marjonetek

Błędy w pielęgnowaniu urody

Uderzająca jest u nas przepaść, oddzielająca nasze wrodzone poczucie piękna od bezkrytycznego umiłowania *szablonu* w dziedzinie pielęgnowania urody. Pielęgnowanie urody nie powinno wypływać z ugania się za nowością, lecz z istotnego zrozumienia potrzeb danej *właściwości* cery, włosów i skóry ciała. Nie będę się rozwodził nad metodą rozpoznania różnych właściwości cery, znajdzie ją bowiem czytelnik szczegółowo w broszurkach o nowoczesnem, indywidualnem pielęgnowaniu urody, załączonych do każdego preparatu wytwórni lekarsko-kosmetycznej „Miraculum", nawet do preparatów codziennego użytku, jak: *pudru egzotycznego D-ra Lustra i Shampoonu D-ra Lustra.* Treść tych broszur radzę przyswoić sobie każdemu, dbającemu o zachowanie urody. Aczkolwiek uświadomienie znaczne poczyniło postępy, napotyka się dziś jeszcze wypadki niszczenia tłustej cery kremami i mydłami, czego następstwem bywają wągry i pryszcze. Tłustą cerę należy myć wyłącznie gorącą wodą i *proszkiem marmurowym „Miraculum".* O szkodliwości t. zw. domowych środków, tudzież o innych błędnych „metodach" pielęgnowania urody, pomówimy w następnym artykuliku.

Dr. Z. B.

Polowanie na lwa... w lasach Francji

Dokończenie ze str. 11-tej)

skutowano do dziś dnia wykopaliska archeologiczne, przyczem właściciel firmy w Glozel nie zasypiał gruszek w popiele i postanowił za jednym zamachem wzbogacić się, biorąc słone wstępy za oglądanie wątpliwej wartości „skarbów" na jego polu. Czy właściciel asów, nawiedzonych przez lwy, które stały się sławne i są celem zbiegowiska, pójdzie za przykładem swego poprzednika z Glozel, narazie nic jeszcze nie wiadomo.

Ale na tem nie kończą się zagadki. Zachodzi pytanie, czy ten lew—widmo krąży dopiero od kilku tygodni w lasach koło Agen, czy też przebywa już tam oddawna, nie zauważony przez nikogo. Są dane, przemawiające za tem drugiem, bo już w zeszłym roku mówiło się o okazie afrykańskiej fauny, w południowo-zachodniej Francji. Jedno z pism paryskich podało w styczniu 1929 r. ciekawą depeszę, z której wynika, że już wówczas widziano tam drapieżnika, włóczącego się wieczorami naokoło wsi.

Oto jak brzmi ta depesza:

„Montpellier, 17 stycznia 1929. — Miejscowości Calluisson i Vergeze zostały poruszone pojawieniem się dziwnego zwierza, który krąży po okolicy.

Ostatnio dwie kobiety z przyjaciółką Bissac koło Calluisson, zajęte praniem bielizny, zobaczyły z przerażeniem, jak przez drogę przechodził jakiś zwierz, mający płaską głowę jak u kota i potężny tułów jak u wilka albo zdziczałego psa.

Kobiety podniosły krzyk i zaalarmowały żandarmów na służbie, którzy wraz z kilku mieszkańcami rzucili się w pościg za tajemniczem zwierzęciem, napróżno zresztą, gdyż nikt ze ścigających nie miał broni.

Tego samego dnia, koło godziny 10 rano, gajowy Rey z Vergeze, odbywający codzienny obchód lasów, został zaskoczony łoskotem walących się kamieni i z prawdziwem osłupieniem spostrzegł wyskakującego z pobliskich krzaków zwierza, uciekającego na sposób koci.

Jak oświadczył, bestja ta mogła mieć wielkość dwóch psów: była koloru brunatnego, z wielką głową, spłaszczona od góry. Odciski łap, pozostawione na śniegu, nosiły ślady pazurów. Były to jakby łapy kota, ale o wiele zwiększone.

Sądzą, że ma się tu do czynienia z lampartem".

Czy to będzie lampart, lew, czy tygrys, ten dziwny zwierz—widmo, czuje się widocznie doskonale w lasach francuskich, skoro od roku zgórą chowa się w nich bezpiecznie i zdążył już nawet powiększyć rodzinę. Po jaguarze, który swego czasu grasował w lasku Bulońskim w Paryżu, lew z Agen jest być może dowodem, że lasy Francji nadają się znakomicie na ogrody zoologiczne.

K.



Pani Stanisłaaw Karlińska i wytworny pan Roland z werwą prowadzą conferencierkę w rewji „Morskiego Oka" p. t. „Uśmiech Warszawy". Doskonała ta rewja dobiega już swego setnego przedstawienia.
(fot. Brzozowski)

Clemenceau Foch...

(Dalszy ciąg ze str. 7-mej)

J. MARTET. — A jednak nie kto inny, jak Foch stał się symbolem zwycięstwa. Nie wielu mamy podobnie wielkich ludzi....

CLEMENCEAU. — Nie przeczę, że był wielkim żołnierzem.

J. MARTET. — A pragnie pan mówić o Chemin des Dames...

CLEMENCEAU. — Albowiem pragnę, żeby wszyscy dowiedzieli się — a najgłupsi żeby to pojęli — że jeśli broniłem Focha i podtrzymywałem go, to nie dlatego, żebym był zaślepiony. A bitwa nad Sommą w 16-ym roku... Przerwaliśmy front... Zwycięstwo było bliskie... Cóż jednak wynikło?

J. MARTET. — Czy to Foch dowodził nad Sommą?

CLEMENCEAU. — Tak jest, mój drogi. Znawcy strategji — ludzie skądinąd niezwykli — wyjaśniają, że bitwa nad Sommą miała jedynie na celu dywersję dla Verdun, które już opadało z sił. Dajmy na to. Niemniej jednak znam takich, co tego samego dnia przechadzali się z laską w ręku o dobrych kilka kilometrów po dawnych pozycjach niemieckich... A przed nimi — pustka... Pozostali tam cały dzień i całą noc, zadając sobie pytanie: — Cóż tam robią, u djabła? Dlaczegóż nie następują? — I choć wszystko wówczas było przewidziane — nie pomyślano o jednem, o zwycięstwie. Nazajutrz zaś Bosze ściągnęli ludzi, armaty — i trzeba było zawrócić.

J. MARTET. — Jeśli tak, to możnaby panu zarzucić, dlaczego wybór pański padł na Focha?

CLEMENCEAU. — Nie miałem innego wyboru. Znalazłem się w Doullens pomiędzy dwoma ludźmi: Pétainem, który twierdził, że już po nas — i Fochem, który miotał się jak szalony i wzywał do boju. I wówczas sobie pomyślałem: — Spróbujmy Focha. Zginiemy przynajmniej z bronią w ręku. — Puściłem kantem tak rozsądnego człowieka, jakim bezwzględnie był Pétain — i wybrałem warjata — Focha. I nie kto inny, jak ten szaleniec uratował nas...

J. MARTET. — A więc uratował?

CLEMENCEAU. — Tak jest. Lecz powiem, jakim sposobem. — Powiem, czy zawdzięczać to mamy genjalnym uderzeniom. Powiem, czy Foch był Napoleonem, czy też Blücherem. Baschet opowiadał mi, że rozprzedał 750.000 egzemplarzy „Illustration" poświęconych Fochowi...

J. MARTET. — No właśnie — więc sława jego...

CLEMENCEAU —Opieram się na sile.

J. MARTET. — Doskonale, proszę pana. Pozwoliłem sobie na podobne przemówienie i pragnę zakończyć tem, że jeśli Foch w stosunku do pana postąpił niewłaściwie, to jednak...

CLEMENCEAU. — Nic z tego, Martet! Nie należy zbaczać z właściwej sobie linji.

J. MARTET. — Innemi słowy — pragnie pan wydać całą książkę?

CLEMENCEAU. — Pragnę tego. Książkę in octavo. Zastanawiam się tylko, czy też mi to wystarczy.

J. MARTET. — I nie obawia się pan przedsięwziąć podobną pracę*).

CLEMENCEAU. — Czegoż miałbym się obawiać?

J. MARTET. — A może pan już zaczął?

CLEMENCEAU. — Oczywiście, mój drogi. Więc mogę liczyć na pana?

J. MARTET. — Zgoda!...

(D. c. n.).

---

*) *Działo się to na siedm miesięcy przed jego zgonem.*

Walka o dolara

(Dalszy ciąg ze str. 3-ciej)

jąc na ten zastój i jakby przeczuwając przyszły rozrost operacyj, opuścił skromne stanowisko u znanego podówczas maklera Barkera i założył na własną rękę firmę „Jacob Little and Co". Przewidywania nie zawiodły go, gdyż istotnie, parę lat później mógł dowoli spekulować podczas sławetnej paniki 1837 r., wprowadzając nowy typ operacyj terminowych do 12 miesięcy. Little zawdzięcza początek swej fortuny na umiejętnie rozegranej spekulacji, w okresie wspomnianego kryzysu, a tranzakcja dokonana na akcjach „Erie Railroad", klasyczna ta operacja, która posłużyła za wzór niejednemu z „kawałów" Drew, Goulda i Fiska, zasługuje na specjalną wzmiankę. Oto na czem polegała ta sztuka, tem trudniejsza do dokonania, iż sposoby komunikowania się ze starym kontynentem były podówczas jeszcze bardzo prymitywne. Jakób Little zwrócił atoli uwagę, iż rynek londyński pochłonął olbrzymią ilość obligacyj kolei amerykańskich, a pomiędzy innemi — obligacje Twa Erie. Little rozpoczyna grę na baissę na te akcje w New Yorku, realizując znaczne portfele, z dostawą na termin od 6 do 12 miesięcy. Konkurenci Littla, który notabene nie cieszył się sympatją na rynku, postanowili go zrujnować i raz na zawsze usunąć z giełdy. To też postarali się o wyśrubowanie kursów przed dostawą i zakonspirowanie akcyj w ten sposób, aby przeciwnik nie był w możności nabycia ich. Little jednak, posiadając stały kontakt z Londynem, nabył na tamtejszym rynku niezbędną ilość obligacyj (zamiennych na akcje) i zrealizował w terminach dostawy ogromne zyski.

A la guerre, comme à la guerre. Na giełdzie bywa rozmaicie. Little trzykrotnie upadał i trzykrotnie podnosił się, mimo, iż na rynku pojawili się groźni przeciwnicy tej miary, co Drew i Vanderbilt. I los wreszcie zrządził, że na tych samych akcjach Erie, na których po raz pierwszy znacznie się dorobił, stracił ostatecznie wszystko, podczas pamiętnego kryzysu giełdowego z r. 1857.

W tym samym czasie 18 banków w New Yorku zawiesiło wypłaty...

Czemu przypisać należy tę katastrofę? Oto Stany Zjednoczone dzięki olbrzymiemu rozrostowi sieci dróg komunikacji, których budowa, dla celów spekulacji, następowała nieproporcjonalnie szybko w stosunku do rozpoczęcia eksploatacji — a ponadto i dzięki odkryciu w Kalifornji ogromnych pokładów złota (50 milj.), wpadły w okres niezdrowej spekulacji, spotęgowanej nadmierną inflacją. I wystarczyło, aby jeden z poważniejszych banków na rynku (Ohio Life Insurance and Trust Co) zawiesił wypłaty, aby publiczność, ogarnięta paniką, poczęła gwałtownie żądać wycofania wkładów.

Publiczność, zaangażowana w interesach finansowych poniosła stratę kilkuset miljonów dolarów i chociaż przysięgła sobie, i to nie po raz pierwszy, nie zajmować się już niezdrową spekulacją, wnet powróciła, znosząc pełnemi garściami swoje oszczędności.

(D. c. n.)

JAN POKER.

STRACH

Pod uderzeniami dwóch par podkutych gwoździami butów, zawieszone w próżni deski mostu wydały głuchy, bolesny dźwięk. Gdzieś w oddali, niewidzialny parowóz gwizdnął trzy razy, zapewne ciesząc się pięknej, letniej nocy. Dwie schodzące się na horyzoncie, pary szyn, lśniły w świetle księżyca, jak zaczarowana droga.

Wnet też balast toru zachrzęścił pod stopami obu mężczyzn. Szli wolno, starając się trafiać nogami na podkłady, co oszczędzało bolesnego stąpania po ostrym tłuczniu. Po chwili jeden z nich zaczął mówić:

— Panie inżynierze. Dzisiaj ludzie stracili pojęcie strachu. Przed wojną obawiano się duchów, złodziei, cyganów. Gdy pobiło się dwóch nożowników gazety podawały to na pierwszej stronie, z tytułem na dwie szpalty. Wykolejenie towarowego pociągu było straszną katastrofą. Potyczka z krajowcami w kolonjach — krwawą bitwą. Teraz wszystko się zmieniło.

— Tak. Z duchami się rozmawia, cyganów rejestruje, złodziei tak wiele chodzi po świecie, że przyzwyczailiśmy się do nich. A dzieci straszy się teraz komornikiem.

— Pan inżynier żartuje, ale ja mówię poważnie. Wojna dokonała pod tym względem zupełnego przewrotu. Ludzie zatracili wstręt do okropności. Przeciwnie — lubują się w nich. Szczególnie kobiety. Te są dziś odważniejsze od mężczyzn.

— Może nie zdają sobie sprawy.

— Może. Mężczyzna, który palił machorkę pod huraganowym ogniem nieprzyjacielskich haubic, albo który dwa dni leżał ranny między linjami, ma prawo się nie bać. Ale kobieta. Mnie to zawsze irytuje.

— No, niema się czem przejmować.

— Jest. Kobieta powinna się bać! To leży w jej naturze, tak jak macierzyństwo, czy kokieterja. Mogą być wyjątki — Walkirje, Eumenidy, Amazonki. Tylko wyjątki. Ale, gdy na dziesięć napotkanych kobiet dziewięć marzy tylko o tem, aby zostać pilotem, szoferem, czy marynarzem — to na myśl przychodzi stara bajka — „szewcze patrzaj kopyta"... Cóż nam pozostaje? niańczyć dzieci?

— Widzę, że z pana wielki sceptyk...

— Zostałem nim niedawno. Opowiem panu inżynierowi. To było rok temu. Pracowałem wtedy w dyrekcji krakowskiej. Na takiej główniej linji, zaopatrzonej we wszystkie nowoczesne szykany. Byłem dyżurnym ruchu w X. Nie powiem nazwy, bo to boli. Może kiedyś...

Kochałem się. Co tu dużo gadać. Wlazła mi za skórę nauczycielka z pobliskiego miasteczka. Malutka szatynka, z zielonemi oczyma. Niech się pan inżynier strzeże kobiet, co mają zielone oczy.

Pomijam szczegóły naszej miłości. Powiadam naszej, choć właściwie nie jestem pewny, czy mnie kiedykolwiek kochała. Sama twierdziła, że tak. Ale czy to można wierzyć kobiecie?

Żyliśmy ze sobą jak kot z psem. Kochaliśmy się cały czas. Ja byłem zazdrosny — ona nieznośna. Po pół roku miałem nerwy jak postronki. A odejść nie miałem siły. Zadała mi czegoś...

Nudzę pana inżyniera. Zaraz przejdę do rzeczy. Otóż Janka — bo tak jej było na imię — niczego się nie lękała. Nie było dla niej nic świętego, nic strasznego, nic niedostępnego... Jadła kolację na cmentarzu w noc świętojańską. Albo obdzierała trupy na polu bitwy. Perwersja — czy co?

Któregoś wieczoru posprzeczaliśmy się na dobre, o ten właśnie strach. Nazwała mnie tchórzem, półgłówkiem, zacofańcem. Rozzłościłem się. — Już ja cię nastraszę — pomyślałem. — I to tak, że popamiętasz całe życie.

Do głowy przyszedł mi djabelski plan. Wiadomo, że w takich chwilach zawsze jakieś głupstwo nagle strzela do mózgu. Kiedyindziej możnaby myśleć pół dnia i nie wymyśleć, a tu tak zaraz... Sprawka djabła.

— Więc ty się niczego nie boisz? — spytałem, niby to spokojnie, choć wewnątrz trzęsło mnie jak w febrze.

Uśmiechnęła się z pogardą.

— I pozwolisz się o tem przekonać? Dasz się wystawić na próbę?

Tym razem parsknęła śmiechem.

Tego tylko trzeba. Wściekły jak bawół, rzuciłem się na nią, przewróciłem na kanapę, związałem, czem się dało: ręcznikiem, własnym paskiem, zerwaną firanką. Patrzała na mnie z początku ze zdziwieniem, potem z ciekawością, w końcu z pogardą. Strachu w jej oczach nie dostrzegłem.

Ale się pomyliła w swem wyrachowaniu. Bo skończywszy wiązanie, wpakowałem w jej szelmowską buzię knebel i wziąwszy w ramiona słodki ciężar, ruszyłem w drogę.

Domki personelu stały parę kroków za budynkiem stacyjnym. Noc była cicha, choć ciemna. Do miasteczka dwa kilometry. W pobliżu żywej duszy. Najbliższy pociąg za dwie godziny.

Za wschodnią kabiną blokową — u samego wylotu stacji — opuszczała tor główny bocznica, prowadząca do żwirowni. Jakieś dwieście metrów dalej bocznica ta rozdwajała się. Prosto do starej żwirowni, krzywo do nowej. Zwrotnica poruszana była drutami z kabiny centralizacyjnej.

Tam to poniosłem moją Janeczkę. Wiedziałem, że co noc przechodzi tamtędy pociąg roboczy, zabierający ze żwirowni balast. Wiedziałem, że obiera on nowy, krzywy kierunek, podczas gdy linja prosta porasta oddawna trawą. Idealne miejsce do zemsty. Teatr. Więcej — całe kino. Zupełnie, jak w tych kolejowych amerykańskich filmach.

Doszedłszy, położyłem Jankę na trawie i opatrzyłem zwrotnicę. Wszystko było w porządku. Iglica nastawiona na tor boczny. Podkłady ułożone tymczasowo, wysoko nad nasypem. Przeciągnięcie sznura między szyną a ziemią nie było trudnem.

— Chodź tu, aniołku — mruknąłem — chodź. Jutro mi opowiesz, jak strach wygląda.

Janka, wpół zduszona kneblem, oszołomiona walką i drogą, nie ruszała się. Wziąłem ją więc na ręce i delikatnie ułożyłem wzdłuż zewnętrznej szyczyny, wiążąc mocno. W tem położeniu stopy jej dotykały niemal prawej iglicy, a głowa znajdowała się na wysokości kontr-szyny skrzyżowania. Całe ciało leżało, zwrócone nogami w stronę linji głównej, jednakże poza zasięgiem pociągu.

Dopiąwszy swego, zatarłem ręce i spojrzałem na zegarek. Pamiętam jak dziś: była za pięć jedenasta. Roboczy przechodził przez stację zwykle o jedenastej. Manewrował chwilę przy bocznicy, zmieniając kierunek, poczem zdążał ku żwirowni. Za jakieś dziesięć, piętnaście minut powinien był nadejść.

— Może się nareszcie zlęknie, kiedy ujrzy pociąg — myślałem. — Leżąc będzie go doskonale widziała, natomiast samej zwrotnicy nie dojrzy. Do ostatniej chwili będzie pewna, że ta masa stali i żelaza biegnie wprost na nią. Wrażenie mocne. A wagony poczną wykręcać dopiero o cal od jej pantofelków. I cała falanga przejdzie zaledwie o parę centymetrów od zielonych oczu.

Pogwizdując, poszedłem ku stacji. Gdybym został, niebezpieczeństwo mogło się wydać Jance zbyt wątłem. A tak — stwarzałem niepewność: proba czy morderstwo?

Wciąż pogwizdując, doszedłem do kabiny blokowej. Akurat jedna z szyn, ta właśnie, w której przedłużeniu leżała Janka, — poczęła lśnić w oddali, odbijając samotną latarnię roboczego pociągu. Światło zbyt słabe, by mogło zwyciężyć ciemność między szynami, obrał osobie łatwiejszą drogę, odbijając się od polerowanej stali i biegnąc wzdłuż niej, mnie naprzeciw. Za chwilę pobiegnie tak ku Janeczce i zaświeci jej w oczy.

Stałem chwilę, opierając się o żelazne schodki kabiny. Dudnienie roboczego poczęło się zbliżać. Wszedłem.

Między dwoma rzędami wypolerowanych, błyszczących lewarów, oświetlonych lampą, której szeroki abażur pieszczotliwie chronił lipcową noc od potoków niepożądanego światła, blokmistrz Kalinowski spokojnie palił papierosa. Ujrzawszy mnie, przyłożył rękę do daszka i rzekł:

— Pan naczelnik ma jaką sprawę — czy tak?...

— Nic ważnego. Jak tam roboczy?

— Już nadbiega. Zaraz go zwekslujemy.

Jakoż dudnienie ustało. Zastąpił je rytmiczny turkot. A za chwilę stary austrjacki parowóz, o kominie jak krater Wezuwjusza, z sykiem węża przesunął się obok. Natychmiast też rozległ się głuchy brzęk nacierających na siebie buforów i płaczliwy sygnał trąbki.

Kalinowski wybiegł na balkon, krzyknął coś w ciemną noc, powrócił, i z moimi plecami trzasnął dwukrotnie żądłami lewarów. Przez szyby kabiny zobaczyłem, jak parowóz prychnął iskrami, zamruczał radośnie i miast ciągnąć, popchnął teraz przed siebie te piętnaście próżnych trzydziestotonnowych lor. — Tyk-tyk-tyk-ytyk — zastukały ich wózki na zwrotnicy.

Obróciłem się i poczęstowałem Kalinowskiego papierosem. Myśl pobiegła tam, ku odgałęzieniu. Roboczy szedł wolno — gwoli ostrożności — najwyżej 15 km. na godzinę. Tem lepiej. Wykluczało to wszelką możliwość wypadku, a potęgowało wrażenie. Za minutę czołowa lora będzie na wysokości szarych zamszowych pantofelków. A schodki breku przejdą o pięć centymetrów nad ciemną rozwichrzoną czupryną....

Brekowy czy przewodnik? E, — nic nie zauważą. Oni są przecież od tego, żeby nic nie widzieli. Komu toby się chciało patrzeć na boczne tory w taką noc. A zresztą, jeśli nawet zauważą — to co? Piętnastu lor, toczonych po spadku, parowozem w tyłu, nie zatrzymuje się w jednej chwili. Biedaczka będzie miała czas najeść się strachu. A że ją potem odwiążą — furda. Rzecz całą wyjaśnię bez trudności. Załatwi się po koleżeńsku.

Wszystkie te myśli tłoczyły mi się w głowie conajwyżej piętnaście sekund. Obejrzałem się na blokmistrza. Dłubał coś przy jednym z aparatów blokowych. I naraz wzrok mój padł na stalową grzędę lewarów.

Lewar zwrotnicy I/II był przełożony jak się patrzy. Natomiast lewar odgałęzienia „C" stał grzecznie na swojem miejscu, wskazując prostą drogę. A przecież, aby pociąg wszedł w lewą linję, winien być przełożony!

Lodowaty dreszcz zrodził mi się pod czaszką i powędrował wzdłuż grzbietu. Nogi ugięły się, a w krtani tak dławić zaczęło, że ledwo wyszeptałem:

— Jakto, więc roboczy idzie na starą żwirownię?

— A tak, panie naczelniku, na nowej będą jutro przekładać tor...

Ile jeszcze było czasu, nie zdawałem sobie sprawy. Może pięć sekund, może piętnaście. Może już wcgóle po wszystkiem. Może koła czołowej lory przeszły już po gibkiem ciele Janki. Może zamiast smukłej, pięknej dziewczyny, leży tam, na szynach, przekrajany wzdłuż, zbryzgany krwią i mózgiem kawał ludzkiego mięsa. I może przekładając lewar już pod pociągiem, nie ratowałem Janki a wykolejałem następne lory, narażając na śmierć kilku kolegów. Trudno.

Jak ryś skoczyłem do stawidła i szarpnąłem. Zimna stal klasnęła mi w ręku, zatrzymała się chwilę w pół drogi... Chwili tej nigdy nie zapomnę. Sądziłem już, że zwrotnica się zacięła, albo zaplątały druty. W takiej chwili można osiwieć.

Szarpnąłem raz drugi i lewar posłusznie wskoczył w swe dolne łożysko. A potem runąłem na ziemię, waląc głową o kant stawidła. Cud prawdziwy, żem sobie nie rozłupał czaszki.

Gdym się ocknął, leżałem na sofce Kalinowskiego, a nademną stał blokmistrz z kierownikiem pociągu. Spoglądali na mnie pół z litością, pół z przerażeniem.

— Co pan zrobił najlepszego, panie naczelniku? — rzekł w końcu Kalinowski.

— Janka! Janka! — wymamrotałem w odpowiedzi, szczękając zębami.

— Do licha z pańską Janką. Też babskie historje. Czegóż ją tam pan wiązał? Mecyje. Ale dwie lory leżą w rowie, a ja ich wyciągać nie będę — pienił się kierownik.

— Jakto?

— A tak. Przełożył pan zwrotnicę na lewy tor. A tam czwarte przęsło było rozmontowane. Szyny leżały luźno na podkładach, bo mieli je jutro przesuwać. Zanim zatrzymaliśmy — poszły dwie lory z nasypu. I brekowy potłuczony...

— A Janka?... — zdławiło mnie w gardle.

— Mówię panu. Złego djabli nie wezmą. Szelma dziewucha. Jakeśmy ją odwiązali, to się śmiała. Powiada, że pan ją chciał nastraszyć, że to był taki zakład. Ale nie bała się ani chwili. Wiedziała, że jeżeli ją pan tam położył, to przedtem się pan upewnił... No, ale to wszystko głupstwo. Będzie duża nieprzyjemność z temi lorami. Pan odpowie...

Na drugi dzień zabrano mnie do szpitala, bo dostałem takiej nerwowej reakcji. Dziewczyna przyszła do mnie... z uśmiechem. Chciałeś mnie nastraszyć, a sam wpadłeś — powiada.

— Janko! — czy wiesz, że byłaś o włos od śmierci. I to najstraszniejszej, jaka się może zdarzyć.

— Tere-fere! Przestań już. Wiesz dobrze, że się nie boję. Zresztą co komu pisane.

I poszła. Ja leżałem jeszcze tydzień, a potem miałem dyscyplinarkę. Wydalili mnie, mimo ukończonej techniki i jak dotąd nienaganny służby. Zresztą zasłużyłem sowicie. Urzędnikowi kolejowemu nie wolno pozwalać sobie na podobne wybryki. To też teraz kołaczę się jako technik sezonowy — z łaski pana inżyniera.

— No, a co się stało z tą pańską Janką?

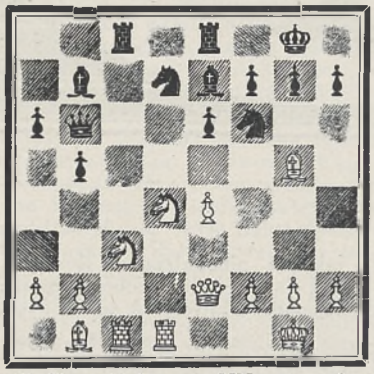
— Wyszła zamąż za jakiegoś wielkiego uczonego, czy podróżnika, djabli go wiedzą. Pojechała z nim razem polować na węże i krokodyle. Niech ją tam... Przecież w tem wszystkiem niema za grosz kobiecości — skończył z goryczą.

— On n'arrive jamais à croire à la véritable destinee des femmes avant d'avoir vu un million d'entre elles faire toute autre chose — rzekł sentencjonalnie inżynier.

SILNE LOTNICTWO TO POTĘGA POLSKI

ROZRYWKI UMYSŁOWE

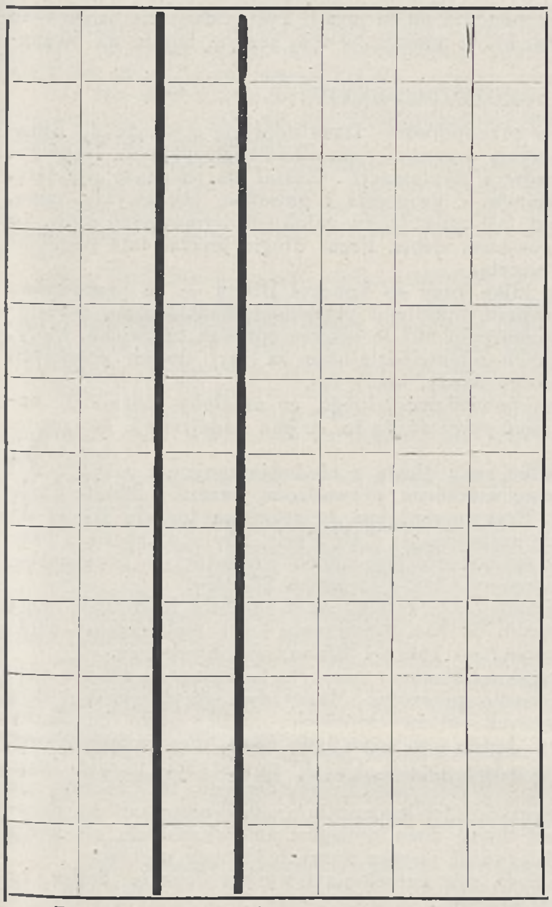
POZYCJA Z PARTJI



W partji Przepiórka — NN., granej niedawno w seansie gry jednoczesnej w Łodzi, wytworzyła się powyższa pozycja. Białe zagrały e4—e5, atakując skoczka f6. Jedyna odpowiedź skoczkiem na d5. Teraz białe biorą skoczka d5. Niema czasu na bicie wieży c1, gdyż hetman jest zaatakowany. Więc e6×d5. Oczywiście nie goniec × d5 wobec W×c8 i następnie G×e7. Jednakże i teraz białe mają forsowny dalszy ciąg, a mianowicie Wc1×c8. Czarne muszą odbić gońcem, aby bronić drugiego gońca wieżą. Białe biją wreszcie na e7, wieża czarna odbija i tu następuje pointe'a całej kombinacji. He2—c2!! grożąc bić gońca a8 lub piona h7. Czarne muszą grać We7—e8, poczem nastąpi mat zapomocą bicia hetmanem piona z szachem i następnie Sd4—f5. Bardzo ładna kombinacja!

LOGOGRYF

ułożył Jerzy Safjan z Warszawy.



Puste kartki wypełnić literami według podanego znaczenia słów. Trzecie litery wyrazów, czytane zgóry nadół utworzą rozwiązanie.

ZNACZENIE SŁÓW.

1. Hełm husarski. 2. Ozdoba kobieca. 3. Słynny tukanier (pamiętny wprowadzeniem do Europy ziemniaków). 4. Fizyk francuski. 5. Napój wyskokowy. 6. Stan w U. S. A. 7. Imię męskie. 8. Kolonja holenderska. 9. Mieszkańcy Nowej Zelandji. 10. Rodzaj ozdoby architektonicznej. 11. Sprzęt domowy. 12. Znana aktorka włoska (wspak).

NAGRODY.

Za rozwiązanie niniejszego logogryfu przeznaczamy trzy nagrody książkowe do rozlosowania. Termin nadsyłania rozwiązań 10-dniowy.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (19)

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W Monte Carlo odbywa się kongres Wielkiego Traktatu Narodów, na którym zaproponowano zaprosić Amerykę do udziału w pracach. Agent Stanów Zjednoczonych, Grant Slattery, rozpoczyna na terenie amerykańskim walkę z wysłannikiem Niemiec, Korneljuszem Blunnem, który wespół z delegatem Japonji, hrabią Itashem, stara się urobić opinję amerykańską contra Kongresowi. Tancerka Cleo, dawna kochanka hrabiego Itasha, postanawia zemścić się za porzucenie jej i wyjawia częściowo Grantowi politykę Japonji i Niemiec. Cleo zostaje aresztowana pod zarzutem usiłowania morderstwa na Yvonnie, obecnej przyjaciółce Japończyka.

— Sytuacja jest dla mnie zupełnie jasna i przejrzysta — zapewnił go Grant.

Itash skłonił się nisko.

— Nie wspomniałbym o tem — rzekł, zabierając się do wyjścia — gdyby pan, jako członek korpusu dyplomatycznego, nie mógł mnie zrozumieć. Tak łatwo nam zaszkodzić jakiemś nieopatrznem słówkiem. Nigdy żadnem słowem nie zdradziłem przed jakąkolwiek kobietą moich spraw. Pan będzie łaskaw mieć to na uwadze, panie Slattery. A teraz, życzę panom przyjemnego dnia.

Wyszedł z pompą, jak zwykle.

Grant i Stoneham usłyszeli, jak zatrzanęły się za nim drzwi windy.

— Cóż to szepnęła ci ona do ucha na odchodnem? — spytał Dan przyjaciela.

— Coś dziwnie tajemniczego. Mówiła po francusku. Powiedziała poprostu: Sekret polityki światowej spoczywa w dwuch małych tomikach, ukrytych w złotych szkatułkach pod numerem tysiąc dwieście osiem!

— I nic z tego nie rozumiesz, prawda? — zapytał Stoneham, przyczem twarz jego pokryła się znów purpurą.

— Niewiele.

— Czy nie słyszałeś nigdy wersji, krążącej o Korneljuszu Blunnie?

— Znam jedną, lecz ciekaw jestem twojej.

— Pamiętasz, oczywiście, jego biografję. Ojciec jego był wielkim przyjacielem cesarza Wilhelma, jednym z tych, którzy wierzyli w wielkość ojczyzny niemieckiej i jej boskiego prawa do panowania nad światem. Traktat Wersalski złamał mu serce. Na łożu śmierci pisał ostatnią swą wolę, którą umieścił w złotej szkatułce, podarowanej mu w swoim czasie przez cesarza. Jest to podobno testament, przekazujący synowi walkę o potęgę Niemiec.

— Ależ w takim razie cóż znaczy numer tysiąc dwieście ósmy? — zapytał Grant.

— Ta liczba właśnie poddała mi te myśli. Tysiąc dwieście osiem — to numer apartamentu Blunna, który mieszka w tym samym hotelu na dwunastem piętrze.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Tego samego jeszcze przedpołudnia Itash udał się z wizytą do Blunna, którego gazety nowojorskie przezwały „Środkowo-europejskim Napoleonem współczesnych finansów i dyplomacji". Został natychmiast przyjęty. Wkroczywszy do jego gabinetu z uroczystą i poważną, jak zwykle, miną, został w ciągu kilku minut tak zmiażdżony potokiem wymownych słów, że nic nie pozostało z jego pewności siebie. Przez długie jeszcze lata pamiętał tę niefortunną dla siebie wizytę.

— Zdarzało mi się kilka razy — kończył Blunn — że pracowałem wespół z wszelkiego rodzaju niebieskiemi ptaszkami, kanciarzami, oszustami i złodziejami, lecz nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać człowieka, który, dźwigając na swych barkach odpowiedzialność za losy dwóch potężnych państw, nie potrafiłby milczeć wtedy, kiedy śpi.

— Lecz cóż mogłem powiedzieć takiego, co mogłoby zaszkodzić naszej sprawie i skąd mam mieć pewność, że to, co pan podejrzewa, jest prawdą?

Blunn potrząsnął kilka razy głową z niedowierzaniem i przypomniał swemu gościowi ich rozmowę wieczorną, prowadzoną jeszcze w Monte Carlo w sprawie zakupów stali. Przypomniał mu, że rozmowa toczyła się aż do północy i że Itash udał się następnie do Café Paris, aby spotkać się z panną Cléo. Sprawy zakupów zaprzątnęły jego umysł, i nazajutrz w nocy nastąpiło poznanie w dancingu panny Cléo z Grantem Slattery.

— Czy pan nie rozumie, jaki zamęt na Kongresie Rozbrojeń mogą sprowadzić pewne w stosunku do nas podejrzenia i jak niekorzystny obrót nadać mogą naszym sprawom? — kończył Blunn swą inwektywę.

— Rozumiem — wyjąknął Itash — mimo to twierdzę, że nic nie zdołają wykryć. Byliśmy aż nadto przezorni. Mamy dwa skryte porty i dwa skryte doki, nie licząc naszych portów chińskich. Każdy nowo budowany okręt ma swego sobowtóra. Jedno i to samo imię noszą dwa okręty. Nawet robotnicy portowi nie mają o tem pojęcia. Okręty są starannie ukryte, znajdują się obecnie w Ulensku. Wyślę natychmiast depeszę, tak, że nikt nie będzie mógł rozpoznać identyczności krążowników. Nie obawiam się niczego. Wiem, że w Tokio jest dosyć dużo szpiegów amerykańskich, ale wiem z pewnością, że nie wyszpiegowali jeszcze naszych tajnych portów.

— W takim razie niech pan natychmiast wysyła depesze. Sądzę, że można polegać na pańskim kluczu.

— Mój klucz może odszyfrować jedynie osoba, do której skieruję depeszę — oświadczył Itash. — Zasadą jego jest stary język kapłanów, z przed dwuch tysięcy lat, znają go tylko nieliczni nasi filologowie.

Odpiął swą marynarkę i kamizelkę i pokazał wstążeczkę, którą nosił pod bielizną.

— Doskonale — rzekł Blunn — niech pan tu wróci za dwie godziny i proszę po tem nie spać.

Po wyjściu Itash'a siedział Blunn przez jakiś czas nieruchomo na fotelu i zapatrzył się na stojący na biurku kalendarz, jakby coś ważył w swoim umyśle. Wreszcie otworzył drzwi i zawołał na sekretarkę:

— Fräulein Herman, jestem zajęty przez pół godziny. Rozumie pani? Proszę mnie nawet nie wołać do telefonu.

— Rozumiem najzupełniej.

Powrócił do gabinetu i zamknął starannie drzwi za sobą. Zasłonił szczelnie okna portjerą i odkręcił małą lampkę elektryczną. Podszedł do jednej ze ścian, w której mieścił się niedostrzegalny dla ludzkiego oka safe. Zdjął marynarkę i kamizelkę, i oswobodził się z małego łańcuszka, którym był owinięty. Na łańcuszku tym wisiały dwa kluczyki. Jednym z nich otworzył skrytkę i wyjął z niej ostrożnie złotą szkatułkę, ukrytą pod pliką różnych papierów. Na pokrywce widniały herby Berlina i starannie wycyzelowany napis: Korneljuszowi Blunnowi, wiernemu słudze tego świata, dobremu obywatelowi i przyjacielowi. Wilhelm, imperator. 1913 r.

Drżącą ręką wyjął dwa pożółkłe zwoje, umieszczone na dnie szkatułki, przysunął fotel do biurka i z miną kapłana, odprawiającego jakieś

misterja, odczytywał swe relikwie, odczytywał je wolno, ledwie dosłyszalnym szeptem:

„Drogi synu. Piszę do ciebie na łożu śmierci, zebrawszy ostatek sił, których mi jeszcze los udzielił. Odchodzę, zanim jeszcze spełniłem zadanie mego życia i dla tego składam ten ciężar na twoje barki. Będziesz go niósł, póki go nie wypełnisz. Mój synu, każdy naród wybrany musi krążyć cierniową drogą męki i upokorzenia, aż zatrjumfuje. Wielkość musi zwyciężyć, a najdoskonalsza dusza narodu niemieckiego, narodu wybranego, musi zawładnąć światem. Oto, co chcę ci przekazać. Pamiętaj o zasadach, które ugruntowały wielkość naszego narodu. Człowiek, któremu wybaczasz, nigdy nie wybaczy tobie. Człowiek, któremu uczynisz coś dobrego, odpłaci ci niewdzięcznością. Masz nienawidzieć tych wrogów za życia, w godzinę śmierci i po śmierci. Przyjdzie chwila, kiedy każdy obywatel Francji, Anglji Ameryki stanie się twym najzagorzalszym wrogiem. Nigdy Filistyni nie upokorzyli i umęczyli dzieci Izraela w ten sposób, jak to uczynili z nami nasi wrogowie. Niechaj twe serce nie zazna litości, niechaj wrogowie nasi zaznają ten sam ból, jaki nawiedził duszę narodu niemieckiego po Traktacie Wersalskim. Kiedy Niemcy zaatakują ponownie, staną na najwyższym szczeblu potęgi. Pamiętaj, że miecze i armaty ukuły potęgę Niemiec i przez miecze i stal dojdziemy tylko do wielkości.

Bądź zdrów, Korneljuszu, synu mój i nie szczędź nigdy wroga i nie nadużywaj przyjaciela. Korneljusz Blunn".

„Napoleon Europy środkowej" zakończył swe nabożeństwo. Dziwna zmiana zaszła w tym, zawsze pogodnym i spokojnym, człowieku. Stał się nagle prototypem swego narodu, symbolem krwi i żelaza, posągiem zemsty. Ale to trwało tylko chwilę, ocknął się z zadumy i po chwili cały pokój przybrał swe codzienne oblicze. Potok dziennego światła zalał gabinet na nowo ,a jego właściciel zapalił ze spokojem cygaro. Otworzył drzwi do pokoju sekretarki:

— Zabieramy się do roboty, panno Herman!

— Pan Gurlenheim z Londyńskiego Towarzystwa Stali czeka na pana w poczekalni — oświadczyła bezbarwna sekretarka. Cień niepokoju pokrył jowialną twarz Blunna.

— Prosić! — zawołał.

Pan Gurlenheim był niskim, małym człowieczkiem, o szarych włosach, dziwnie gardlanym głosie i nieśmiałych manierach. Przyjął zaofiarowane mu miejsce na krześle, lecz natychmiast podniósł się żywo...

— Drogi przyjacielu — zawołał uścisnąwszy serdecznie dłoń gospodarza — przychodzę do pana w nader poważnej sprawie. Dostaliśmy list od sekretarza Ligi Rozbrojeń z żądaniem natychmiastowego sprawozdania z zakupów stali, poczynionych u nas przez Japonję w ciągu ostatnich dwu lat. Mamy to natychmiast przygotować, gdyż sprawozdanie potrzebne będzie już na zbliżającą się sesję Ligi.

— Nie należy się zbytnio śpieszyć. Być może, że Japonja przekroczyła kontyngent, ale to da się jakoś wykręcić. Istnieje tylko ograniczenie zużycia, ale przecież zapasy....

— Tylko że przecież naprawdę Japonja przekroczyła, co?

— Czy tak jest naprawdę, tego pan wcale wiedzieć nie powinien, panie Gurlenheim. Lecz co zostało zrobione, było zrobione tak zręcznie, że nikt o tem się nie dowie przed upływem roku, a wtedy będzie już dla „nich" za późno.

Pan Gurlenheim wytarł wielką jedwabną chustką pot z czoła.

— Wydaje mi się, jakby ten rok trwał dziesięć lat — westchnął. — Panu to nie zaszkodzi, gdyż będzie pan już w Niemczech, kiedy burza wybuchnie. Lecz cóż się stanie, jeżeli tutaj będą chcieli zemścić się na nas, a zemściliby się napewno, gdyby się dowiedzieli wszystkiego.

Korneljusz Blunn uśmiechnął się przekornie.

— Jeżeli taki jest stan pana umysłu, to radziłbym panu natychmiast opuści New York i wyjechać na uspokojenie nerwów. Nie rozumiem, o co panu chodzi?

— O drobnostkę, np. o wykrycie spisku i ogłoszenie w gazetach listy uczestników.

Blunn poklepał po ramieniu swego gościa:

— O to niema obawy. Jedyną pełną listę posiadam ja, nikt oprócz mnie nigdy jej nie zobaczy. Sprawdzam ją każdej nocy.

Gurlenheim poczuł się znowu na stałym punkcie. Zapalił cygaro, ofiarowane mu przedtem przez gospodarza, zaciągnął się jego cudownym aromatem, i lubował się niem jak smakosz.

— To wielka rzecz być człowiekiem bogatym — westchnął. — Coprawda, pieniądze robi się tu szybko, lecz jeszcze szybciej płyną lata. Mam już blisko pięćdziesiąt, a dopiero jeden miljonik w majątku

Blunn uśmiechnął się:

— Zbliża się i do nas bogactwo, Gurlenheim, zbliża się, gdyż wyciągamy po nie rękę. Może już niedługo naliczy pan i u siebie dziesięć miljoników. A tymczasem dzisiaj wieczorem pan wypije na cześć człowieka, który podpisał Traktat Wersalski i wierzył, że wojnę robi się przy pomocy okrętów i ludzi.

— Przy pomocy okrętów i ludzi — patrzył Gurlenheim. — Dobrze, wypiję ten toast.

ROZDZIAŁ XXXV.

Grant odetchną z niemałą ulgą, gdy na jego zaproszenie, wszedł do pokoju gość, którego oczekiwał już z niecierpliwością od dłuższego czasu. Przybyszem był pułkownik Hudson, wysoki, wytworny mężczyzna. Uścisnął silnie dłoń gospodarza i uśmiechał się do niego z sympatją. Oczy jego pobłądziły w kierunku mahoniowego biurka, przy którem siedział Stoneham.

— To mój przyjaciel, pułkowniku, Daniel Stoneham, były wydawca dziennika w New-Yorku.

Mężczyźni wymienili między sobą uścisk dłoni.

Jakże się nazywa pana obecny departament? — zagadnął Grant gościa — czy jeszcze w dalszym ciągu Tajna Służba Wywiadowcza?

— Jest to obecnie departament „A" — odpowiedział Hudson. — Ale właściwie żadnej niema roboty. Gdy otrzymałem ich telegram, bawiłem już blisko od miesiąca w Honolulu na wywczasach.

Grant podsunął gościowi fotel i stolik z wisky i syfonem. Zadzwonił po lód i gdy już pułkownik ochłodził się wybornym napojem, zagadnął go na nowo.

— Byłem przekonany, pułkowniku, że nie wyślą wcale po pana na moje żądanie. Powiedz mi, pan, otwarcie, co tam o mnie myślą w departamencie?

— Są oczywiście bardzo zainteresowani — odparł pułkownik, wyciągając nogi i zapalając cygaro — mają dla pana dużo szacunku, lecz tymczasem uważają pana za manjaka.

(D. c. n.)

MIECZYSŁAW BIRNBAUM.

Moje dzieciństwo

Lubię pisać o tem, co znam dokładnie. Lubię wogóle w każdej dziedzinie fachowców. Naprzykład — gdy podatnik mówi o sposobach uchylania się od płacenia podatków; lekarz, wychodzący od pacjenta, któremu zabronił choćby jednej kropelki alkoholu, wstępuje na 3 mocniejsze do baru; kieszonkowy złodziej propagujący zwrot fotografji i legitymacji okradzionemu; bankier, wygłaszający odczyt o konieczności walki z lichwą, polityk o prawdomówności; współczesna kobieta o tem, że obcina się włosy tylko dla wygody; filozof — o szkodliwych skutkach roztargnienia i t. d., i t. d.

Jako że sam byłem dzieciakiem (proszę mi wierzyć!), pisać będę o dzieciństwie, które doskonale pamiętam. Szczerze mówiąc, chwili swych narodzin nie pamiętam, choć datę dobrze znam. Zato dobrze pamiętam, że nie znosiłem podkładanych mi, zimnych pieluszek. Niestety nie wiedziałem wtedy jeszcze, jak w ludzkim języku powiedzieć: „proszę mi ogrzać pieluszkę..." Zgrzytałem więc tylko.. dziąsłami, a dorośli myśleli, że wyrażam z nieznanych bliżej powodów ogromne zadowolenie, bo z braku tego, czem się zwykle zgrzyta, wychodziło jakieś mlaskanie. W tejże chwili całe otoczenie zaczynało jakoś dziko mlaskać i cmokać, biorąc mnie po kolei brudnemi wskazującemi palcami za podbródek. Nie znosiłem tej niehigjenicznej poufałości i chwytałem palec ustami, usiłując go bezskutecznie ugryźć, a ci nierozumni dorośli ludzie pakowali mi paluchy do ust w świętem przekonaniu, że jest to z mojej strony wyraz najwyższego zadowolenia z tej głupiej zabawy.

Te ciągłe nieporozumienia przyprawiały mnie o pasję. Gdy więc starsi odchodzili od kołyski, zapominając zasunąć rygiel, utrzymujący ją w równowadze, kopałem tak długo nóżkami, aż kołyska się przechylała, a ja z trzaskiem spadałem na ziemię. Umyślnie nie płakałem, bo zaobserwowałem, że bardzo denerwuje dorosłych, jeżeli pokrzywdzone dziecko nie zanosi się z pół godziny od płaczu.

I jak przystoi na tak zdolne dziecko, za jakie u matki swojej uchodziłem, rosłem i mężniałem z każdym dniem.

I jako trzy, czteroletnie bobo wszedłem już we wszystkie prawa, panujące nad całym domem i jego żywym i martwym inwentarzem. Rysowałem na białych ścianach, a kiedy mi odebrano ołówek, wygrzebywałem łyżeczką wapno i zjadałem. Dorośli nie mogli zrozumieć, że wapno lub popiół są znacznie smaczniejsze od jajeczka na miękko. Choć już jako tako porozumiewałem się z dorosłymi w ich własnym języku, nie zdradzałem im jednak tej tajemnicy kulinarnej, bo nie lubię przekonywać upartych ludzi w tak prostych i oczywistych sprawach.

Cudownie płynęło mi dzieciństwo. Nie zapomnę pewnej wielkiej radości (lubiłem zawsze i lubię sprawiać bliźnim radość). Oto pewnego razu ojciec przygotowywał się do koncertu, w którym miał tego wieczoru wystąpić. Miał bardzo drogie skrzypce. Po skończeniu jakiejś kompozycji odezwał się do mamy: „tak, moja droga, skrzypce mają duszę". Niedługo myśląc, zabrałem się po wyjściu rodziców do odszukania w skrzypcach duszy. Po bardzo uciążliwej pracy udało mi się rozpłatać skrzypce nożem i pokrwawionymi palcami wyciągnąć „duszę". Wtedy dopiero przekonałem się, jak kłamią dorośli... Mama, nie wiedząc dokładnie, co zrobiłem skrzypcom i sobie, chwyciła mnie na ręce i z rozanieloną miną powiedziała: „Nie mozna lobić nozem, ty, mój kochany inzynieze"... Słów nie zrozumiałem, ale z cudnego szczęśliwego uśmiechu mamy zrozumiałem, że zrobiłem coś bardzo dobrego i postanowiłem, że zawsze będę szukać duszy w skrzypcach. Nie mogłem później pojąć, dlaczego ojciec cały zsiniał ze złości i zbił mnie. Tak mu było z tem brzydko, że postanowiłem na złość nie dotykać się więcej jego skrzypiec.

Zabrałem się tedy do nut, które ojciec pisał. Były tam kropki, kółka, pałeczki poziome i poprzeczne. Powypełniałem uczciwie wszystkie kółka i poprzedłużałem poprzeczne pałeczki. Zabrało mi to normalny dzień roboczy. Mama, zauważywszy to, zabrała mi wprawdzie nuty, ale odezwała się do niani: „to będzie wielki kompozytor"... A ojciec... o, lepiej nie wspominać! takie piekło zrobił, że cała służba się zleciała. Ojciec podarł pracę moją na kawałki, zdeptał nogami i zamknął się na cały dzień w gabinecie. Już wtedy zrozumiałem, że ludzie żenią się poto tylko, żeby jedno przeczyło drugiemu, a tematy do sprzeczek żeby dawały dzieci. I wtedy nazywa się to: spokojne ognisko rodzinne.

Również dużą radość sprawiło mi, gdy mi po raz pierwszy włożono, zamiast sukienki, męskie ubranko. Nie chciałem być podobny do dziewczynki. Już pierwszego dnia skrupulatnie poobcinałem wszystkie guziki. Gdy mnie mama zapytała, dlaczegom to zrobił, rezolutnie odpowiedziałem: „bo poco zapinać, kiedy ciągle trzeba odpinać?" Mama roześmiała się na cały głos i powiedziała do cioci: „O, już ma doskonale rozwinięty zmysł organizacji pracy"... Nie rozumiałem wtedy tych słów, wiedziałem tylko, że dobrze zrobiłem, wobec czego po obiedzie to samo uczyniłem z wszystkimi ubraniami ojca. Myślałem, że może choć teraz ojciec mnie tak samo pochwali, jak mama, ale — gdzie tam! Znowuż było piekło! Ani rusz dogodzić nie mogłem ojcu i mamie równocześnie...

I takbym nie zmienił już poglądów swoich na zgodne pożycie małżeńskie, gdyby nie wypadek z koniem. Narysowałem konia. Aż sam się zachwycałem tym koniem, choć naogół byłem bardzo skromnego o sobie zdania. Matka pokazywała rysunek mój całej służbie, wszystkim krewnym i znajomym. Po przyjściu ojca i jemu z dumą konia pokazała. Wiedząc z góry, że co mamie się podoba, ojca w pasję wprowadza, przezornie czmychnąłem do łazienki. Stałem tam w ciemnym kącie, z zapartym oddechem. Wreszcie odszukali mnie, bo ojciec udawał, że odchodzi, a mama mnie zawołała. Wtedy ojciec, wziął mnie na ręce i obcałowując mnie, powiedział: „Ty mój kochany malarzu!". Zdębiałem, ale po chwili namysłu rozbeczałem się: „Czego płaczesz, dziecino?" „Nie chcę być malarzem"... „Dlaczego?" „Bo malarz musi być brudny!"... Oboje się roześmiali. Nie wierzyłem własnym oczom i po raz pierwszy przekonałem się, że w małżeństwie może panować również zgoda...

Jak się później dowiedziałem, wyjmowanie dusz ze skrzypiec, badanie, w jaki sposób lalki mrugają oczyma, obcinanie z praktycznych względów guzików, zrobiło mi opinję „dorosłego" człowieka. Pewnego pięknego poranka ojciec powiedział: „czas go już odać do szkoły".



Studjum fotograficzne. (Photoplat)

Tak też się stało. Szkoła podziałała na mnie oszałamiająco. Pierwszego dnia, naśladując starszych kolegów, wsiadłem na ogromną beczkę po smole i zjechałem z niej w ten sposób, że, zaczepiwszy się o gwóźdź, zostawiłem na beczce jedną nogawicę. Drugiego dnia zostawiłem na gimnastyce nowiuteńki płaszcz, który mi skradziono. Gdym po raz trzeci zgubił kalosze, ojciec wezwał z sąsiedniego domu szewca i zawarłszy z nim kontrakt trzyletni, oddał mnie na praktykę, dodając z powagą: „nie wszyscy muszą być uczonymi, szewcy też są potrzebni"... Później się dopiero dowiedziałem, że kontrakt był fikcyjny.

Przez całe trzy dni skrobałem szkłem podeszwy i, rozumie się, wyskrobywałem w najelegantszych bucikach dziury. Ojciec, żyjący z pracy, t. zw. pracownik umysłowy, musiał potem z rok płacić ratami za genjalne wyskrobane przezemnie podeszwy...

Okres szewstwa mojego był jednym z najpiękniejszych okresów mojego dzieciństwa. Wszystkie koleżanki i koledzy, a miałem ich sporo, opuszczając lekcje stali pod oknami szewca, znosili mi pomarańcze i cukierki, a potem męczyli rodziców, błagając ze łzami w oczach, by ich też do szewca oddano...

Skończył się ten piękny okres. Kupiono mi nowe, tańsze ubranko, posłano mnie z powrotem do szkoły.

Jawnych awantur od tego czasu zacząłem unikać. Stałem się bardziej skryty. W czasie pauzy, nabierałem naprzykład pełną kieszeń kamyków i rozpędziwszy się na kołobiegu, w locie rozbijałem szyby kancelarji szkolnej. Na lekcjach gwizdałem, nie otwierając ust, tak, że profesorowie przyszli do przekonania, że ktoś gwiżdże albo nosem, albo brzuchem.

Dowcip trzymał się już mnie od dzieciństwa. Mieliśmy, jak sobie przypominam, podręcznik do geografji, w którym były pytania i odpowiedzi. Pewnego razu profesor zadał mi pytanie: „Kto mieszka w Persji?" (zamiast — jakie ludy). Znałem nawet odpowiedź, oburzyło mnie jednak nieścisłe pytanie profesora. Odpowiedziałem po krótkim namyśle: „w Persji mieszkają persowie". „A kto jeszcze?" — pyta profesor. „Kto chce!..." — rzuciłem złośliwie.

Na lekcji języka polskiego kazano mi dać kilka własnych przykładów klasycznych i rozmieścić prawidłowo znaki przestankowe. Napisałem: *„Raz wśród kilku wiejskich dziewczynek, przecinek, które były jak malinki (tu też niezbędne przecinki), była mała śliczna Mania chłopka (kropka) i t. d.*

Pod tym wierszykiem profesor napisał: „Za ćwiczenie dwója, a za taką poezję na godzinę do kozy".

Mimo to koledzy zazdrościli mi ogromnie dowcipu i ciągle prosili o pisanie im wesołych wierszyków. Od tego czasu oni zaczęli dwójki otrzymywać, bo ja produkowałem się już w domu lub w towarzystwie.

Dowcip uczepił mnie się do tego stopnia, że mnie do dziś dnia, podobno, nie wypuszczą ze swych objęć.

To, tamto i owo

Święto Joanny d'Arc w Paryżu



W 501 rocznicę śmierci Joanny d'Arc, delegacja polska udaje się na uroczystość w Paryżu.

O... KRÓTKICH SUKIENKACH.

W chwili, gdy krótka sukienka może zupełnie wygasnąć, nie od rzeczy będzie wspomnieć oryginalną historję o tem, jak ongiś moda ta była usankcjonowana przez prawodawstwo. Gdzie? Oczywiście, że w Ameryce, a kiedy — opowiem...

Oto w trzecim dziesiątku ub. stulecia, pewien młodzieniec, nazwiskiem Strang, porzuciwszy studja, począł wędrować po świecie, aż wreszcie uprzykrzył sobie to zajęcie i przyłączył się do ruchu mormońskiego. Niespokojny duch, który kierował nim dotychczas, nie dawał mu wytchnienia, to też po kilku latach „świątobliwego" żywota pokłócił się z głową sekty, Brighamem Youngiem, odłączył się od niego i z gromadą swych zwolenników osiadł na wyspie Beaver (półn. części jeziora Michigan).

Z wyspy tej Strang przedsiębrał „wyprawy karne" przeciw „niewiernym", za których uważani byli wszyscy nie sektanci, stając się wkrótce postrachem całej okolicy. Przewagi wojenne natchnęły Stranga w kierunku — jak na Amerykę, nie republikańskim — obwołania się królem Michiganu.

I oto wśród mnóstwa dekretów, które płodził gwoli pożytku swoich poddanych, znalazł się przepis, określający, jak mają ubierać się niewiasty. Obowiązujące krótkie sukienki mogły sięgać nie niżej kolan.

Moda ta nie weszła w życie bez sprzeciwu ze strony kobiet, które wypowiedziały za namową małżonki świeżo przybyłego mormona, Bedforda— walkę przeciw woli monarszej. Zarzewie buntu zostało narazie zdeptane dzięki energicznemu stanowisku króla, który skazał na karę chłosty mężów opornych kobiet. Pierwszą ofiarą gniewu monarchy padł, jak należało się spodziewać, Thomas Bedford.

Niewiasty obnażyły kolana, lecz nie na długo, gdyż w rok później Bedford zastrzelił Stranga.

Królestwo Michiganu rozpadło się, a kobiety przywdziały z powrotem przystojniejsze szaty...

Wśród książek

Władysław Ludwik Evert. „Poza frazesem i demagogją".

Władysław Ludwik Evert, jak wiadomo, jest redaktorem naczelnym „Polski Zbrojnej" i jednym z najwybitniejszych, czołowych publicystów obozu pomajowego. W publicystycznej pracy cechują go cnoty, w dziennikarstwie naszem dość rzadkie: wielki umiar, takt, duża rycerskość w stosunku do przeciwnika, zupełne opanowanie stylu i słowa, wielki szacunek, a więc wypływająca z niego, ostrożność w stosunku do tego, co pisze i co podpisuje, wreszcie odwaga myśli i odwaga cywilna, powodująca pokrywanie nazwiskiem wszystkiego, co głosi. Żywiołowy temperament Everta sprawia, iż broni i atakuje z furją — furja ta, jednak, jest furją szarżującej husarji, nie wpada nigdy w brutalność, nie jest nigdy gminna czy obelżywa. W pracy publicystycznej włada równie dobrze koncerzem, jak i szpada, tą wytworną i podstępną bronią markizów.

Z wykształcenia prawnik i historyk wnosi do publicystyki nietylko dużą wiedzę, lecz i wybitną umiejętność operowania własną wiedzą. Nie ma nic z pedanterji, jego styl jest barwny, potoczysty, mieniący się setką porównań. Najzawilsze sprawy i zagadnienia potrafi ująć dostępnie i przejrzyście. Charakterystykę powyższą Everta, jako publicysty, można całkowicie odnieść do jego ostatniej książki, która jest niewątpliwie bardzo cennym wkładem do naszej literatury politycznej. „Poza frazesem i demagogją" poświęcone jest nietylko zagadnieniom ustrojowym — sprawę tę autor ujmuje znacznie głębiej — rozważa on zasadnicze zagadnienie jednostki i ogółu, dotyka i pogłębia zarazem sprawę metody ujmowania zjawisk życiowych, rozprawia się z nawykami myślowemi, z frazesem — tym „cmentarzem pogrzebanych dawno myśli". Analizując pojęcie demokracji i teoretyczne założenia o pochodzeniu władzy, doprowadza czytelnika do niespodziewanych wniosków: zaczynamy się niemal wstydzić, iż tak długo powtarzaliśmy szereg słów i zdań, nie dostrzegając ich wewnętrznej pustki. I pod tym względem książka Everta jest niemal straszna. Z cechującą go drapieżnością i zuchwalstwem myśli, obnaża prawdę tak, jak ją widzi — a czyni to z suggestywną mocą, z porywającą siłą przekonania.

Doskonały stylista, panujący nad tematem i nad słowem, miażdży wprost przeciwników, zmuszając do poddania rewizji najbardziej zakorzenione poglądy. Aktualny temat ustrojowy wyrósł w ujęciu Everta, nabrał tężyzny, stał się przyczynkiem do nowego światopoglądu — zaś sposób pisania sprawia, że książkę czyta się lekko, bez znużenia, że zawikłane zagadnienia prawne, najbardziej obce aktualności, pojmuje się łatwo, chwyta z żywem, coraz rosnącem zaciekawieniem. „Poetą zmierzchu bogów" nazwał Everta któryś z krytyków, bodaj że ś. p. Feldman, oceniając jego poezje — z umierającemi bogami obchodzi się Evert w politycznej swej pracy dość okrutnie: wykazuje ich nicość.

Mar.

Afrykańscy miotacze dzieci

Kilka lat temu wyruszył amerykański uczony W. B. Seabrook wgłąb Wybrzeża Kości Słoniowej, gdzie, dotarłszy do plemion Yafouba i Guere, osiedlił się, aby zbadać ich życie, a głównie przesądy i wierzenia. Po swych kilkuletnich studjach powrócił z bogatym materjałem naukowym i fotograficznym, ilustrującym bezdenną głębię ciemnoty przesądów, rządzących niepodzielnie wśród tubylczych plemion. Religja plemion Yafouba i Guere, oparta na fetyszyźmie najniższego stopnia, należy do tych religji, najbardziej prymitywnych, które opierają się na wierze w nadprzyrodzone, straszliwie złe siły, przeciwko którym człowiek jest istotą całkowicie bezbronną. Zawdzięczając jedynie modłom i okrutnym praktykom czarowników plemiennych ludzie mogą spokojnie wykonywać swe czynności, związane z jedzeniem, trawieniem i spaniem. Czarownicy, jednostki stojące wyżej intelektualnie od szarej masy krajowców, stwarzają rytuał, oparty na tajemniczości i niezrozumieniu go przez swych współplemieńców, co nadaje im multum przewagi i powagi, no i swojego rodzaju zamożność. Wpływ, wywierany przez czarowników na murzynów, jest tem większy ,że szarlatani ci są przeważnie hypnotyzerami, wykorzystującymi swój dar przyrodzony gwoli ogłupiania „wiernych" i wyciągania od nich tem obfitszych ofiar. Jednym z tradycyjnych obrzędów, kończących się przeważnie śmiertelnie, jest przebłagiwanie złych potęg przez tak zwane miotanie dzieci. Śmiertelna ta ceremonja, odbywająca się przy gremjalnym udziale całego plemienia, wygląda mniej więcej w ten sposób. Czarownik, po uprzedniem zainkasowaniu od ludności obfitych datków, w postaci żywności oraz przedmiotów, mających w tamtych okolicach wartość obiegową (czego się nie robi na chwałę złych genjuszów!), wybiera jedno z dzieci, przeważnie dziewczynkę, która ma z nim celebrować tę okrutną „czarną mszę". Rodzice wybranego dziecka są bardzo dumni z zaszczytu, jaki spłynął na ich godny ród, nie wiedząc w swej ciemnej głupocie o całem okrucieństwie męczenia biednej ofiary. Wybrane dziecko zostaje zahypnotyzowane przez czarodzieja w ten sposób, że całe ciałko wypręża się sztywno, a drobne, niedorozwinięte jeszcze muskuły stają się twarde, jak żelazo. Szarlatan, posługując się szeregiem obrzędów i dziwnych zaklęć, skoków, drgawek i tańców, wprowadza audytorjum tego ponurego widowiska niemal w trans ekstatyczny, poczem, przekonawszy się, że atmosfera jest dostatecznie przygotowana i wszyscy są przesiąknięci religijnem skupieniem, chwyta dziecko za nogi, okręca niem kilkakrotnie nad głową, poczem rzuca kilkanaście metrów przed siebie, w stronę swego pomocnika. Tego znów zadaniem jest pochwycenie lecącego w powietrzu dziecka za nogi i odrzucenie z kolei swemu mistrzowi. O ile obaj szarlatani są zręczni, zabieg ten udaje się, a po kilkakrotnem jego powtórzeniu odbywa się ceremonja budzenia dziecka, które szczęśliwie powraca do swych rodziców. Jednakże zdarza się, i to w większości wypadków, że żaden z dwóch „celebrantów" nie chwyci dziecka „przepisowo". Wówczas dzieciak upada na ziemię, gdzie łamie ręce, nogi, a często roztrzaskuje głowę. W tym ostatnim wypadku biada całemu plemieniu, ponieważ czarownik tłomaczy to wielkim gniewem bóstwa, które wymaga większych ofiar, składanych mu, za łaskawem pośrednictwem czarownika.

Ciekawe opisy fetyszyzmu, niepodzielnie panującego na Wybrzeżu Kości Słoniowej, opracowuje Seabrook w książce, która wzbogaci skąpe wiadomości o wierzeniach i religjach „Czarnego Lądu".



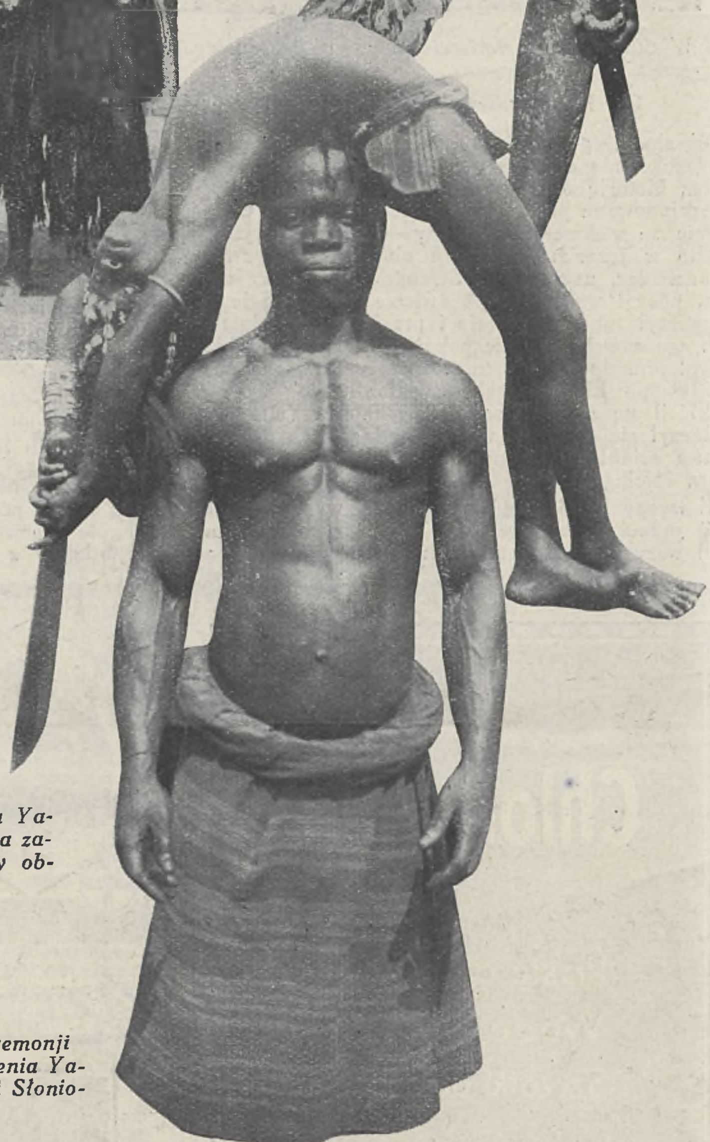
Wojownik plemienia Guere, celem uodpornienia się na razy i pociski nieprzyjaciela, pożera liście, maczane w specjalnym płynie, przygotowywanym przez czarownika.



Maski tańca rytualnego plemienia Habbe, posiadają styl nieco zmodernizowany, a mają wyobrażać krokodyla dawnego bożka Habb'ów.



Czarne „girls" z plemienia Yafonta przedstawią barwny, a zarazem dziki i fantastyczny obraz.



„Pierwszy chwyt" ceremonji miotaczy dzieci z plemienia Yafouba, z wybrzeża Kości Słoniowej.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowogrodzka 43.
Telefony 445-90 i 72-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję. L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1 200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, Tel. 117-98 i 504-46.